Nr. 48. Lwów — Środa dnia 27 Lutego. Rok 1895.

Wychodzi w dni powszednie o godzinie 3 po południu z datą dnia następnego.

NUMER KOSZTUJE
we Lwowie . . . . . . 4 ct.
na prowincyi . . . . . 6 „
Num. z poprzednich miesięcy po 10 ct.

Wszelkie „Doniesienia prywatne“ jakoto o zaręczynach, ślubach, weselach, nabożeństwach żałobnych, pogrzebach, wszelkie nekrologi, opisy uczt i zabaw prywatnych, wszelkie reklamy dla balów, odczytów i koncertów, wszelkie spisy składek, doniesienia o zgubach lub o znalezionych przedmiotach i t. d. i t. d. po 50 centów od wiersza.

PRZEGLĄD

POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

Prenumerata z przesyłką pocztową wynosi:
w kraju i w Austryi miesięcznie 1 złr. 10 ct.
w Niemczech „ 1 „ 50 „
w innych państwach „ 2 „ — „
Za zmianę adresu opłaca się 20 ct. Opłatę należy nadsyłać równocześnie z żądaniem zmiany adresu.

CENY OGŁOSZEŃ
Zwyczajne ogłoszenia na czwartej stronicy:
Wiersz petitowy albo jego miejsce . . . 10 ct.
W „Drobnych ogłoszeniach“ za każde słowo drukiem petitowym po . . . 4 „
tłustym garmondem po . . . 8 „
Korespondencye prywatne za każde słowo drukiem petitowym po . . . 4 „
Nadesłane na trzeciej stronicy:
Ogłoszenia, wiersz petitowy albo jego miejsce 30 ct.
Reklamy . . . 20 „
Nekrologia . . . 30 „
Ogłoszenia do „Przeglądu“ przyjmuje „BIURO DZIENNIKÓW“ ul. Karola Ludwika l. 9.

Dziś: Popielec św. Aleks. Onysyma
Jutro: św. Romana. Pamfylyja M.

Adres Redakcyi i Administracyi: Ulica Sykstuska l. 45.

Naczelny Redaktor i Wydawca: Ludwik Masłowski.

Wschód słońca g. 6 m. 54
Zachód „ 5 „ 34

Długość dnia g. 10 m. 40
Przybyło dnia od wczoraj m. 2

Przegląd polityczny.

Lwów 26 lutego.

Kiedy w końcu grudnia wybuchło na Węgrzech przesilenie gabinetowe i po długiem poszukiwaniu następcy p. Wekerlego znaleziono nareszcie około 10-go stycznia wyjście przez zamianowanie szefem rządu barona Banffy'ego, natenczas odrazu powstało mniemanie, że jest to tylko prowizoryczne załatwienie spraw i zagadnień, wywołanych ustawami antikatolickiemi i wzrostem radykalnego prądu, który okazywał swą siłę manifestacyami: przeciw izbie magnatów, podczas pogrzebu Koszuta i potem, gdy syn jego odbywał po kraju agitacyjną podróż. Zrozumiano, że stosunki muszą gruntownie się zmienić, a pożądali tego zarówno liberałowie, jak katolicy, chociaż z całkiem odmiennych powodów. Pierwsi chcieli utrwalić za sobą władzę znowu na długi szereg lat, pozbywszy się kompromitującej ich spółki z radykałami, którą zawarli dla przeprowadzenia ustaw bezwyznaniowych i dlatego pobłażliwie patrzyli na uliczne warcholstwo tych wspólników. Drudzy, aby obalić, albo przynajmniej osłabić znaczenie ustaw antikościelnych, postanowili utworzyć własne stronnictwo, które nazwali narodowo-katolickiem. Formacya ta odbywała się dość pomyślnie, a że była to siła powstająca przeciw liberałom, przeto dla nich tem naglejszą było sprawą wzmocnić swój obóz. Powstała tedy między nimi myśl koalicyi z narodowcami Apponyi'ego. Hr. Khuen-Hedervary był wybitnym zwolennikiem tej idei ale nie mógł jej przeprowadzić, bo liberałowie nie chcieli pierwsi podać ręki narodowcom, nie chcieli tej koalicyi przyjąć do swego programu i to wyrazić w składzie przyszłego gabinetu, lecz żądali, aby narodowcy, zupełnie tak, jak niektórzy monarchiści francuscy, pogodzeni z republiką, po prostu przymknęli do nich bez żadnych warunków, a za to potem coś mogliby otrzymać. Że tak postępowali, to się jedynie tłómaczy ich wyrachowaniem, iż narodowcy są znudzeni długą a niepłodną opozycyą i także, jako patryoci, z niepokojem spoglądają na silny rozwój skrajnych dążności. Jednakże to wyrachowanie okazało się błędnem: narodowcy nie przymknęli do liberalnego obozu, Hedervary usunął się do Zagrzebia i wtedy pozostało tylko powołać gabinet, któryby się w niczem od poprzedniego nie różnił, czyli stworzyć prowizoryum. Tak powstało ministeryum Banffy'ego. Rzecz naturalna, że oficyalnie było ono zupełnie wolne od jakichkolwiek zobowiązań względem narodowców; liberałowie, jako większość sejmowa, mieli własny rząd; ale w stosunkach, które spowodowały upadek Wekerlego, nic się przez to nie zmieniło; po dawnemu stała wciąż rosnąca siła katolickiego stronnictwa, która z czasem odbierze liberałom władzę, i po dawnemu konieczna spółka z radykalnymi żywiołami kompromitowała rządowy obóz. Więc Banffy, chociaż nie miał formalnego obowiązku rokować z narodowcami o sojusz, ale miał moralny, wynikający z troski o przyszłość liberalnej sprawy. Tak to rozumiał obóz rządowy — i wiedziano na Węgrzech, że nowy gabinet, skoro się tylko oswoi z położeniem, zaraz rozpocznie akcyą, której nie zdołał przeprowadzić Hedervary. Jakoż, Banffy wszedł w układy z szefem narodowców hrabią Apponyi'm, ale wbrew sangwinistycznym oczekiwaniom liberałów, natrafił na opór większy, niż narodowe kasyno stawiało Hedervary'emu. Wprost Apponyi nie odrzucił wezwania do sojuszu, ale postawił warunki niemożliwe do przyjęcia dla rządu, który chce być lojalnym względem Korony, i dla liberałów, stojących na gruncie ugody z r. 1867-go. Zażądał mianowicie utworzenia na Węgrzech akademii wojskowej z językiem wyłącznie madyarskim i pewnej zmiany w umundurowaniu pułków węgierskich; pierwsze żądanie, gdyby było wykonane, rozdzieliłoby austro-węgierski korpus oficerów na dwa odrębne korpusy; drugie wprowadziłoby zewnętrzną różnicę między pułkami z tej i z tamtej strony Litawy; słowem wspólna armia, będąca silnym wyrazem jedności monarchii, przestałaby istnieć. Oczywiście, to nie byłby koniec pragnień separacyjnych; w dalszym ciągu zażądałoby stronnictwo Apponyi'ego innych zmian, słowem, Węgry w stosunku do Austryi weszłyby na drogę, którą kroczy Norwegia w stosunku do Szwecyi. Z niektórych oznak można mniemać, że w liberalnym obozie są niektórzy, niezbyt gorliwi zwolennicy ugody z roku 1867-go, ale cały ten obóz wie, że gdyby porzucił podstawę konstytucyjną, jaką daje ta ugoda, to podniósłby przeciwko sobie magnatów i nader licznych a szczerych zwolenników ugody, przez Koronę uznany byłby za niemożliwy i ostatecznie oddałby ster rządów w ręce młodego stronnictwa narodowo-katolickiego. Z tym tedy stronnictwem rywalizując w okazywaniu lojalności, musiał obóz liberalny odrzucić żądania Apponyi'ego i tak się rozbiła próba zawarcia sojuszu, któryby znakomicie wzmocnił i utrwalił na długo rządy liberalne. Głoszą, że Apponyi w gruncie rzeczy nie jest takim nieprzejednanym separatystą i że przy innych okolicznościach gotów odstąpić od swych postulatów, ale nie chce wspierać liberałów, owszem pożąda ich upadku i dlatego wysunął żądania niemożliwe do przyjęcia. Jakkolwiekbądź, wzmocnienie rządowego obozu przez sojusz z narodowcami stało się niewykonalnem.

Właśnie wtedy spadło na ten obóz drugie nieszczęście. Jak rzekliśmy wyżej, był on w spółce z radykalistami, którym za pomoc w ustawach bezwyznaniowych pobłażał we wszystkiem burzycielskiem, co czynili w kraju i stolicy. Ale chciał się od tej spółki uwolnić i to było drugiem zadaniem gabinetu Banffy'ego. Radykaliści z zaciśniętemi zębami spoglądali na sojuszowe próby z narodowcami Apponyi'ego, bo rozumieli, że tu idzie o wyrzucenie ich za nawias. Gdy tedy próba się nie powiodła, postanowili wziąć na liberałach zemstę, lecz nietylko ją, bo widząc, że liberalizm rychło zaśpiewa swoją pieśń łabędzią, postanowili szukać innych towarzyszy. Więc odbyły się w ich łonie starcia, które w końcu doprowadziły do rozłamu tego stronnictwa na dwie partye. Właśnie podczas dyskusyi nad przyszłą postawą stronnictwa w kwestyi ustaw bezwyznaniowych i nad organizacyą samego stronnictwa nastąpił wybuch. Z 77miu członków tego obozu, większość, bo 42ch, pod przewodnictwem Polonyi'ego oświadczyła, że nadal chce być stronnictwem socyalno-chrześcijańskiem, więc zapewne takiem, jak Luegerowskie w Wiedniu. Mniejszość, złożona z 35ciu, a w tej liczbie i dotychczasowy szef obozu Justh, wytrwała w swych zasadach radykalno bezwyznaniowych i postanowiła założyć osobne stronnictwo. Znaczenie tego wypadku jest to, że liczba zwolenników ustaw bezwyznaniowych zmniejszyła się w sejmie o 42ch, a na orczyku obozu katolickiego pojawiło się owo nowe stronnictwo Polonyi'ego. Dla katolików jest to pomoc niezbyt pożądana, owszem wystrzegać się oni muszą, aby nie była kompromitującą i zapewne nie nawiążą żadnych stosunków z tym nowym obozem. Ale dla liberałów ta świeża kreacya parlamentarna jest podwójnie przykra: stracili cały radykalny obóz, bo Justh ze swoimi będzie ich wspierał tylko w bezwyznaniowości, a Polonyi nietylko na tym punkcie będzie ich zwalczał, jak na każdym innym i jak katolicy, ale nadto, w roli partyzanta tej barwy, co Lueger, Pattai, Gregorig et Comp. pocznie wojować skandalami i odsłanianiem wrzekomych nadużyć, co pospólstwo tak lubi i w co chętnie wierzy.

Przyszłość tedy nieróżowo maluje się przed liberałami: zamiast wzmocnienia się narodowcami Apponyiego, stracili radykałów, pozyskali w socyalno-chrześcijańskiej partyi gryzoniów i szkalowników, którzy zniesławią ich przed wyborcami, a tymczasem widzą jak obóz narodowo-katolicki rośnie i nabiera powagi.

Zanotowaliśmy w przedostatnim numerze doniesienie wrocławskich dzienników o studenckich zaburzeniach w Petersburgu. Powodem tych zajść jest — według informacyi *Nowej Prressy* — następujący wypadek: w grudniu, w moskiewskiem Towarzystwie historycznem, wygłosił prof. Kluczewskij prelekcyę o panowaniu Aleksandra III, o którym powiedział, że „był to zbawca cywilizacyi europejskiej, a z Rosyi zrobił najbardziej kulturne państwo; nauka powie o nim, iż dał panowanie prawdzie w życiu społecznem, popierał i podnosił wszystko co dobre, a zwłaszcza wysoko dźwignął historyczną wiedzę w Rosyi“. Otóż te pochwały wydały się słuchaczom fałszywemi, zwłaszcza dlatego, że właśnie Aleksander III zakazał znanemu historykowi, autorowi „Dziejów Katarzyny II“ p. Bilbasowowi cokolwiekbądź pisać lub wykładać. Prelekcya nie podobała się publiczności, niemniej jednak p. Kluczewskij powtórzył swój wykład w akademii duchownej, potem w uniwersytecie, a wreszcie wydrukował go w miesięczniku Towarzystwa historycznego. Studenci wygwizdali tego profesora, a rozprawkę jego wykupili, przylepili do niej litografowaną satyrę dawnego pisarza rosyjskiego Fonwizina i tak rozesłali wszystkim wybitnym osobistościom w Moskwie. Treść tej satyry jest taka: „W arabskiej pustyni rozbiegła się raz wieść, że lew, władzca zwierząt, skończył. Więc z różnych stron począł się schodzić świat czworonożnych, aby wspaniały pogrzeb sprawić potentatowi. I stanął nad zwłokami lis, złamany boleścią i uroczyście tak przemówił: „O, ty, losie okrutny! Kogóż-to świat stracił? Płaczcie i bolejcie szlachetni przedstawiciele zwierząt, bo oto on był najmądrzejszy między wszystkimi panami puszczy i na wieczyste opłakiwanie zasłużył. Któż zdoła wymierzyć ogrom jego dobroci i dobrodziejstw?! On nie znosił niesprawiedliwości, prawda panowała za jego rządów, a historya była niefałszowana. On wszędzie krzewił ład, a sztuk i nauk był możnym opiekunem“... W tem kret cicho się odezwał: „Ależ to są wstrętne pochlebstwa! Nawet ja go poznałem. Jego sprawiedliwość była taka, że kto prawdę pomyślał, ten już życia nie był pewny. Jakże można kłamać tak bezczelnie! Czyż to dowód, że zmarły krzewił prawdę?“ Posłyszał ten bojaźliwy szept pies duży i nie namyślając się, hauknął: „Masz się czemu dziwić! Podłe bydlątko schlebia wielkiemu zwierzęciu. Stara rzecz“.

Więc gdy studenci rozesłali rozprawkę prof. Kluczewskiego z tą satyrą, zarządzono śledztwo i trzech wydalono, a sześciu zamknięto do kozy. Wówczas wzburzyli się wszyscy i w ogrodzie uniwersyteckim zaczęli hałasować, ale zjawiła się sotnia kozaków i przeszło stu popędziła do więzienia. Z nich czterdziestu kilku wypędzono na zawsze ze wszystkich naukowych zakładów, innych relegowano. Profesorowie *in corpore* udali się do jenerał-nego gubernatora w. ks. Sergiusza z prośbą o łaskawszy wymiar kary, lecz ich nie wysłuchano. Wiadomość o tym wypadku w Moskwie oddziałała na umysły studenckie we wszystkich wyższych zakładach rosyjskich. Zaczął się ferment, podniosło się żądanie, aby rząd zwrócił uniwersytetom statut autonomiczny, odebrany im przez Aleksandra III, a ponieważ władza postępowała opryskliwie, przeto w końcu przyszło do sceny, podanej przez nas z gazet wrocławskich.

Cesarz Wilhelm. — Marszałek Martinez Campos.

Piszą nam z Wiednia, 25 lutego:

Cesarz Wilhelm zamierza przybyć jutro na pogrzeb arcyks. Albrechta. Będzie to nowy dowód szczerze przyjacielskich uczuć, jakie młody cesarz niemiecki żywi dla dworu tutejszego, a mianowicie dla Cesarza Franciszka Józefa, a zarazem nowy dowód nadzwyczajnej ścisłości sojuszu austryacko-niemieckiego. Cesarz Wilhelm osobiście jest niezmiernie sympatycznym człowiekiem, który swobodnem, naturalnem wzięciem i pogodnem czołem wyraźnie odstępuje od tradycyjnej sztywności Hohenzollernów. Jego wstąpienie na tron sprowadziło wprawdzie lekki, ale zawsze znaczący zwrot w polityce pruskiej względem Polaków. Samo mianowanie ks. Stablewskiego arcybiskupem stanowiło dowód osobistej życzliwości cesarza Wilhelma dla Polaków, a chociaż pod koniec r. z. wskutek zbiegu różnych fatalnych zajść nastała, daj Boże, chwilowa tylko zmiana na niekorzyść naszą, to jednak stosunek nasz do Wilhelma II jest całkiem inny, aniżeli był stosunek do Wilhelma I, ulegającego bezwzględnie krzyżackim popędom Bismarka. Jako dawni zwolennicy i obrońcy sojuszu niemiecko-austryackiego, względnie ligi potrójnej, reprezentującej jakoby cywilizacyę zachodnią w przeciwstawieństwie do wschodu, z zadowolnieniem witamy nowy dowód ścisłości stosunków pomiędzy Berlinem a Wiedniem, którego dostarczy przybycie cesarza Wilhelma na pogrzeb arcyks. Albrechta, a który przemawia tem dobitniej, ponieważ według zwykłych reguł etykiety dworskiej osobisty udział najpotężniejszego w Europie monarchy w pogrzebie arcyksięcia oznacza akt nadzwyczajnej grzeczności.

Pomiędzy przybyłymi wczoraj wieczorem gośćmi żałobnymi, najciekawszą, wybitnie historyczną osobistością jest marszałek Arsenio Martinez Campos, którego królowa-regentka Hiszpanii przysłała na pogrzeb swego stryja. Urodzony 1834 r., od r. 1859, gdy jako major walczył w Marokko, Martinez Campos prawie bez przerwy odświeżał dawną sławę wojenną Hiszpanii, to w Afryce, to na wyspie Kubie, to w wojnach domowych. Jeszcze w listopadzie r. 1893, zaledwo wyleczony z ran, których go nabawił zamach anarchistów w Barcelonie 25 września owego roku, dzielny marszałek stanął na czele wyprawy, którą wywołał znany napad Kabylów na Melillę, a powaga jego nazwiska wystarczyła, aby cesarza Marokka zmusić do dania żądanej przez Hiszpanię satysfakcyi. Jako wódz 3-go korpusu, w grudniu r. 1874, Martinez Campos obwołał w Saguncie królewicza Alfonsa królem i odtąd wiernie stoi na straży dynastyi burbońsko-habsburgskiej. Jest on głównym, potężnym filarem dostojnej królowej-wdowy i młodziutkiego syna króla Alfonsa XII. To też w Burgu dzielny marszałek, najsławniejszy dziś w Europie wódz, doznał najserdeczniejszego przyjęcia. Przed 10 laty widzieliśmy go na rewii w Madrycie. Na pysznym rumaku, w malowniczym mundurze, wyglądał imponująco. W ostatnim dziesiątku lat znacznie się zestarzał; włos, wąs i hiszpankę całkiem przypruszył szron starości, ruchy straciły elastyczność, ale zawsze jeszcze 60-letni marszałek prezentuje się bardzo poważnie, a jutro w orszaku wysłańców umyślnych, postępujących za trumną Albrechta, zwracać będzie na siebie powszechną uwagę.

Kardynał Schoenborn

w Rzymie.

Znaczna część prasy austryackiej, a nawet europejskiej, od dwóch tygodni roztrząsa domniemaną missyę, z którą arcybiskup praski kardynał Schoenborn wyjechał do Rzymu. Z wczorajszego komunikatu *Vaterlandu*, którego wynurzenia np. o reformie wyborczej lub o kwestyi cylejskiej nie mogą dla nas stanowić normy, ale który właśnie co do rzeczywistego celu ostatniej podróży kardynała Schoenborna do Rzymu może rozporządzać autentyczniejszemi informacyami, niż *Politische Correspondenz* lub *N. Fr. Presse*, należałoby wnosić, że kardynał pojechał jedynie do Rzymu, aby odwiedzić Ojca Stego. Jednakże z ostatniego zdania, że kardynał przywiezie niezawodnie „zupełną zgodę“ możnaby także wnosić, że zanosi się na pewne oświadczenia. Oczywiście nam wypada tylko spokojnie czekać, a najprostrza przyzwoitość nakazuje, nie dyskutować rzekomych zamysłów Ojca Stego, a tem mniej zakreślać im w dziennikach pewien kierunek.

Jeżeli w rzymskich listach *Politische Correspondenz* powtarza się myśl, iż opór tak zwanego stronnictwa „chrześcijańsko-socyalnego“ przeciwko biskupom wymaga napomnienia ze strony Ojca św. to przedewszystkiem warto przypomnieć sobie genezę tego epizodu. Nie można jej szukać w grudniowych wybrykach pp. Luegera i towarzyszy w izbie poselskiej, bo te, jakkolwiek wielce gorszące ze względów politycznych, a nawet prostej przyzwoitości, jednak ani z episkopatem, ani z religią w ogóle nie pozostawały w żadnym związku. Jeżeli frakcya chrześcijańsko-socyalna przeciwko katolikom konserwatywnym w parlamencie walczy głównie wyrzutami, opartemi na regulacyi waluty, które to wyrzuty świeżo w najdosadniejszy sposób na jednem z wiedeńskich zgromadzeń powtórzył ks. Aloizy Liechtenstein, to niewątpliwie hr. Hohenwart, jak to już uczynił w izbie, może w przekonywający sposób wykazać błahość tych wyrzutów, ale z kwestyą kościelną nie pozostają one w żadnym a żadnym związku; episkopat ani zwalcza regulacyi waluty, ani jej nie popiera. To są zatem spory pomiędzy konserwatywnymi i „demokratycznymi“, albo chrześcijańsko-socyalnymi katolikami, które nie dotyczą wcale stosunku do episkopatu.

Wydarzył się tylko jeden głośniejszy fakt, wkraczający w ten stosunek. Jak wiadomo, 20 stycznia ks. Aloizy Liechtenstein urządził zjazd chrześcijańsko-socyalny w Linzu, chociaż tamtejszy biskup ks. Doppelbauer na zapytanie księcia był odpowiedział, że nie życzy sobie takiego zjazdu. (Szczegóły tej sprawy podaliśmy w numerze 21 „*Przeglądu*“). Wyjeżdżając do Linzu, ks. Liechtenstein ogłosił otrzymane na swą prośbę za pośrednictwem kardynała Rampolli błogosławieństwo Ojca świętego. Oczywiście nie byłby go otrzymał, gdyby był doniósł, że udaje się do Linzu wbrew zdaniu tamtejszego biskupa. To jest rzeczą tak jasną, że nie potrzeba jej wcale dowodzić.

Aby jednak cały episkopat austryacki czuł się zaniepokojonym owym, powiedzmy: brakiem taktu ks. Liechtensteina, trudno przypuszczać. Frakcya chrześcijańsko-socyalna jako obóz zorganizowany występuje dotąd jedynie w Dolnej Austryi, zaburzając na przemian sejm wiedeński i Izbę poselską. Po za Dolną Austryą nie występuje nigdzie na arenie parlamentarnej. W niemieckich prowincyach od lat 25 istnieje silnie zorganizowane, pozostające w ścisłym związku z biskupami dyecezyalnymi stronnictwo katolicko-konserwatywne, którego reprezentanci w Radzie Państwa zasiadają w Klubie hr. Hohenwarta. Mianowicie w archidyecezyi kardynała Schoenborna nie dostrzedz ani śladu stronnictwa chrześcijańsko-socyalnego.

Niewątpliwie parlamentarna czynność frakcyi chrześcijańsko-socyalnej w Wiedniu jest szkodliwa, bo często negatywna, co do metody sprzeczna z najprostszymi przepisami przyzwoitości, a nadto o tyle niebezpieczna, że wśród mas ludności wzbudza podejrzliwość względem władz i wyższych warstw społecznych, oraz wytwarza pewną atmosferę nieustannej, burzliwej agitacyi. Jednakże jestto choroba lokalna, wiedeńska. Że biskupi w prowincyach, gdzie od dawna stronnictwo katolicko-konserwatywne zajmuje poważne stanowisko w życiu publicznem, nie życzą sobie importu tej burzliwej, mniej chrześcijańskiej niż socyalnej metody traktowania spraw publicznych, nie zadziwi nikogo. Czy jednak w tej mierze nie wystarcza wpływ biskupów, czy episkopat czuje potrzebę nadzwyczajnych środków ochronnych? — tej kwestyi rozstrzygać nie jesteśmy upoważnieni. Że posłuszeństwo dla biskupów stanowi pierwszy artykuł programu każdego stronnictwa katolickiego, to jest rzeczą tak jasną i tak często uroczyście zostało obwieszczone światu w encyklikach Leona XIII, że człowiek dobrej wiary w tym względzie nie może być narażony na najmniejszą wątpliwość.

Korespondencye.

Wiedeń 23 lutego.

Ciekawa polemika toczy się tu w jednem z pism codziennych między panią Laurą Marholm a słynnym poetą Björnstjerne-Björnsonem. Laura Marholm jest znaną w Niemczech i w Skandynawii bojowniczką emancypacyi wyjątkowych kobiet. Życiem swojem stwierdziła też, że nie uznaje wyższości mężczyzny w żadnym względzie. Z pierwszym swym mężem, znakomitym krytykiem Jerzym Brandesem, rozwiodła się, a drugiego głośnego dziś propagatora modernizmu Olę Hanssona natchnęła do wycieczek literackich przeciw pierwszemu swemu mężowi. Przed dwoma laty czytać można było w berlińskiem czasopiśmie *Freie Bühne* artykuły tej pani o charakterze współczesnej kobiety, które pod względem... odwagi, zawstydzić mogłyby niejednego z cynicznych naturalistów nadsekwańskich. Taka śmiałość toruje dziś drogi prędzej, niż talent, którego Laura Marholm równie mało posiada, jak i szczerych przekonań. Trudno z jej krytyk i szkiców wysnuć jakiegoś programu, często sprzeciwia się ona własnym swoim założeniom, a zawsze mięszanina jej stylu zdradza, że jej autorstwo żyje pożyczkami, zaciąganemi może u znienawidzonego Brandesa i jego następcy, może u innych jeszcze autorów.

Dembiński a Goergej.

(W rocznicę bitwy pod Kapolną).

Naczelne dowództwo nad wojskiem węgierskiem Henryk Dembiński objął 29 stycznia r. 1849, w chwili zatem, gdy po zajęciu Pesztu przez ks. Windischgraetza, sprawa powstania węgierskiego wydawała się straconą. Najpoważniejsi pisarze militarni zgodnie uznają, że nowy wódz naczelny szybko zoryentował się dokładnie w nowych i niezwykłych stosunkach tudzież ułożył ze wszech miar odpowiedni plan kampanii. Oprócz wynikających z natury rzeczy niesłychanych trudności, Hr. Dembiński niestety od samego początku miał do walczenia z niechęcią i krnąbrnością wyższych oficerów węgierskich, zwłaszcza najzdolniejszego z pomiędzy nich Artura Goergeja. Z dawnych dowódców korpusów tylko dwaj przyjęli nominacyę Dembińskiego uprzejmie. Pułkownik Klapka pisał wtedy do Koszutha: „Przed 8 miesiącami porucznik, dziś wódz korpusu, jeżeli rozkaże ojczyzna, jutro będę prostym honwedem. Mniejsza o to, kto dowodzi, byle Pan Bóg błogosławił broni naszej“. Drugi, dowódca korpusu Vecsej witał Dembińskiego jako „wspaniałomyślnego męża, który spiesząc do walki za wolność, wielkodusznie przynosi pomoc i zbawienie srodze zagrożonemu krajowi“.

Po wkroczeniu ks. Windischgraetza do Budy, Artur Goergej z tak zwaną „armią dunajską“, która wtedy liczyła 16.000 żołnierzy, cofnął się w góry nad północną granicę Węgier. W Koszycach otrzymał wiadomość o mianowaniu Dembińskiego naczelnym wodzem. Ambitny, dumny i próżny Goergej, chociaż na początku powstania, jak Klapka, był tylko porucznikiem, natychmiast pomiędzy oficerami swego korpusu począł broić przeciwko Dembińskiemu. W rozkazie dziennym z 12 lutego wzywał ich obłudnie „aby pozorne upokorzenie (!) przyjęli z tą samą obojętnością“, z jaką on „dobrowolnie staje pod rozkazami generał-lejtnanta Dembińskiego, pono (!) doświadczonego w wojnie wodza“.

W Miskolczu Dembiński zgromadził główną armię węgierską, złożoną z 1-go korpusu pułkownika Klapki, 2-go korpusu, którym przedtem dowodził Perczel, i 7-go korpusu Goergeja. Według planu Dembińskiego główna armia miała z Miskolcza wyruszyć do Budapesztu, równocześnie zaś 3-ci korpus Damianicza i Vecseja przeprawić się przez Cisę pod Szolnokiem, aby z boku uderzyć na stolicę. W razie, gdyby ks. Windischgraetz wyruszył na przeciwko głównej armii węgierskiej, Dembiński zamierzał stoczyć z nim walną bitwę na połowie drogi, gdy tymczasem korpus Damianicza mógłby zająć ogołoconą z wojsk cesarskich stolicę.

Dnia 21 lutego Goergej przedstawił się naczelnemu wodzowi w Miskolczu. Przyjęty uprzejmie, pomimo swego wrodzonego sarkazmu i oburzonej dumy zachował z razu pozory karności. Dembiński zaś, aby sobie ująć zdolnego człowieka, o którym później trafnie sąd swój sformułował w słowach, że „nie ma drugiego, równie biegłego w sztuce obłudy i przekręcania faktów“, przedstawił go Koszuthowi do nominacyi generałem dywizyi, na co jednak tenże, czując silny wstręt do Goergeja, nie przystał. Jednakże w pierwszych dniach stosunek pomiędzy Dembińskiem a Goergejem był na pozór uprzejmy.

Dnia 22 lutego armia węgierska wyruszyła w drogę, 24go Dembiński stanął główną kwaterą w Mezoe-Koewerd, w połowie drogi pomiędzy Miskolczem a Gyoengyoer, gdzie tegoż dnia osiadł ks. Windischgraetz. Nazajutrz Dembiński wjechał do stolicy arcybiskupiej Zagoru, gdy przednia straż korpusu Klapki, posuwając się naprzód na drodze do Pesztu, zajęła wioseczynę Kapolnę nad wezbranym strumykiem Tarną, dzielącą dwa nieprzyjacielskie wojska. Wzdłuż Tarny Dembiński ustawił szyk bojowy w następującym porządku: na prawem skrzydle w górach aż do Verpeletu Klapka z dywizyą Dessevffiego, obok niego w Debroe Poeltenberg, w Kapolnie Mariassy, dalej na południe pod futorem Kaal brygada Sekulicza, na lewem skrzydle w Poroszlo, broniącem przeprawy przez Cisę brygada Hertelendego, w tyle, w Zagorze brygada Szulca; trzy dywizye korpusu Goergeja miały tymczasem nadejść z Maktaru, względnie Mezoe-Koewerd. Według obliczeń Dembińskiego, wojsko węgierskie liczyło 30.000 żołnierzy. Książę Windischgraetz miał 23.000 wysłużonych żołnierzy. Kiedy Dembiński w Zagorze zapytał Goergeja, co sądzi o wojsku węgierskiem, ten zwykłym sarkazmem odparł: „Nie można wcale liczyć na męztwo i wytrwałość wojska węgierskiego. Z odwagą będzie ono szturmowało las albo wioskę, ale skoro pierwszy atak nie uda się, oficerowie stracą wszelki wpływ na szeregowców“.

Pomimo tego pesymistycznego zdania Goergeja, wojsko węgierskie tak 26go, jak 27 lutego złożyło dowody niepospolitego męztwa. Zwłaszcza walka o Kapolnę, zdobywaną kilkakrotnie to przez wojska cesarskie, to przez Węgrów, obu wojskom wystawia równie świetne świadectwo waleczności. Oczywiście nie mało do podniesienia ducha wojska węgierskiego przyczynił się przykład Dembińskiego, który stał w najżywszem ogniu i poniósł ciężką ranę. Obok naczelnego wodza najwięcej odznaczyli się Mariassy i Klapka. Po stronie cesarskiej komenderowali dywizyami doświadczeni generałowie hr. Schlik, hr. Vrbna, Csorich, ks. Edmund Schwarzenberg, Colloredo, Zeissberg, jako szef sztabu feldmarszałka kierował ruchami generał Nobili.

Goergej wprawdzie podczas dwudniowej bitwy nie dopuścił się wprost aktu nieposłuszeństwa, ale zaledwo się skończyła, głośno ganił wszystkie rozporządzenia Dembińskiego, oskarżał go, że nie umiał wyzyskać zwycięztwa, oburzał się na arystokratyczne maniery hrabiego i na to, że używał tytułu ekscelencyi, podczas marszu do Ciszy, otwartym uporem przeciwko najwyraźniejszym nakazom naczelnego wodza, udaremnił ważne operacye. Jak wiadomo, po bitwie pod Kapolną, obie strony przypisywały sobie zwycięztwo. Dembiński mógł to czynić tem śmielej, ponieważ po raz pierwszy wojska węgierskie w tej walnej bitwie z główną armią cesarską dotrzymywały placu. Książę Windischgraetz cofnął się do Gyoengyoer, Dembiński wyruszył do Tisza-Fuered nad Cisą. Tam niechęć i zazdrość Goergeja posunęła się niebawem do otwartego rokoszu. Nawet tak uprzedzony do Polaków i zawsze gotów nas oczerniać dziejopisarz, jak baron Helfert, w swych „Dziejach Austryi od powstania wiedeńskiego“ (dział IV, tom trzeci, str. 216) zauważa: „Nieposłuszeństwo Goergeja w głównych punktach osłabiło plany Dembińskiego i pozbawiło je zamierzonego efektu. Pomysł strategiczny Dembińskiego niewątpliwie był trafniejszy i jaśniejszy, niż plany jego przeciwnika, któremu chodziło jedynie o to, aby wszystko ganić, co pierwszy zalecał. Dembiński mógł nie bez racyi podnieść, że o 14 dni wprzódy oznaczył miejsce, na którem wystąpi do walki z wojskiem cesarskiem, a wywabiając ks. Windischgraetza na drogę do Miskolcza, ułatwiał atak na stolicę, który zawiódł tylko w skutek

Niedawno ogłosiła dwa dzieła uzupełniające się swą treścią: „Księga kobiet“ (w Lipsku) i „My kobiety i nasi poeci“ (w Wiedniu). Księga kobiet kreśli cały szereg znakomitych lub znakomitemi mieniących się kobiet, które wyższemi obdarzone przymiotami, mężczyznie chcąc dorównać w poezyi, sztuce, umiejętności i odmawiając mu pierwszeństwa w życiu, skończyły rozpaczliwem pragnieniem długo pogardzanej miłości, długo wydrwiwanego życia domowego. Tak rzecz się miała z Rosyanką Maryą Baszkircew śpiewaczką, malarką, poetką, a przedewszystkiem smutną, histeryczną suchotnicą, rozkochaną na łożu już śmiertelnem w młodym malarzu zdegenerowanym i również umierającym Bastienie Lepage; tak ze Zofią Kowalewską, która wychodzi za mąż, ale tylko na pozór, bo z mężem nie mieszka, ale zatapia się w studyach matematycznych w Berlinie i Getyndze, następnie wraca do męża jako doktorka i ma córeczkę już chyba nie na „pozór“, wreszcie porzuca znowu ojca swego dziecka, który rzuca się w spekulacye rozpaczliwe i kończy samobójstwem, a otrzymawszy katedrę matematyki w Sztokholmie, zwiędła trzydziesto i kilkuletnia zapuszcza się w głupie, śmieszne miłostki; tak też rzecz się miała z Amelią Skram, norweżką autorką najbrutalniejszych powieści, na jakie się kobieta kiedykolwiek zdobyła, bojownicza wolności kobiety, która rozwiódłszy się z mężem, szukała i znalazła wreszcie szczęście w miłości i w pożyciu domowem z mężem drugim; — i z Karoliną Leffler, która w 40-tym roku po kilkunastoletniej krucyacie przeciw mężczyznom, zakochała się w księciu Cajanello i za niego wyszła, w 43 roku miała dziecko i niedługo potem umarła.

Pani Marholm chciałaby jak się zdaje, wywalczyć dla kobiety „wyższej“ prawa bez obowiązków. Dowodzi ona, że kobiecie potrzeba miłości, ale zarazem sarka na więzy życia rodzinnego, zwłaszcza dla uprzywilejowanych natur kobiecych, zbyt uciążliwe. Nie dziw, że wobec takich programów skandynawskich autorek budzi się opozycya zaciekła, czasem równie niesprawiedliwa jak sam program emancypacyjny, że powstają tacy wrogowie kobiety, jak August Strindberg.

O tym pisarzu i o innych, skandynawskich, francuskich i niemieckich i ich postaciach kobiecych, rozprawia się Laura Marholm w ostatniem swem dziele „My kobiety i nasi poeci“. Strindberga nazywa ona geniuszem i barbarzyńcą. Co do barbarzyństwa, łatwo się z nią zgodzić po przeczytaniu „Wierzycieli“, „Hrabianki Julii“, „Ojca“ lub choćby „Spowiedzi szaleńca“; jeden poeta współczesny tak niemożliwych, tak nikczemnych samym tylko rozumem wyzyskiwania mężczyzny żyjących kobiet nie nakreślił, jak Strindberg. Co do „geniuszu“, możnaby natomiast poważne zrobić zastrzeżenia. Nic bowiem łatwiejszego od zadziwienia czytelnika czy widza wypaczonemi potwornie postaciami. Na to potrzeba tylko pewnej siły rozumowania, której oczywiście nie posiadają zazwyczaj emancypatki i która dlatego wydaje im się czasem „geniuszem“. Heysego i Kellera nazywa pani Marholm, raz jednego, a raz drugiego, największym znawcą kobiety w Niemczech. Dwaj ci najwięksi nie bawią się jednak — jak wiadomo — w gloryfikacyę histeryi i wolnej miłości. I o Ibsenie i Björnsonie Laura Marholm wypowiada swoje zdanie oczywiście nie nowe. Ibsen nie pojmuje miłości zmysłowej, jego postacie są „wcielonemi ideami“.

Na Björnsona zaś napada autorka w sposób tak gwałtowny, że trudno nie domyślić się osobistych niechęci. Cała działalność tego pisarza jest zaprzeczeniem namiętnych pożądań „wyższych“ kobiet, które chcą wolności niczem nieograniczonej dla siebie. Björnson wymaga od mężczyzny czystości i askezy — tem samem wymagać musi od kobiety. Jego wykłady na temat nieobyczajności mężczyzny, jego podróże w Norwegii i Danii, na których odczytywał swoje poglądy o nowoczesnym stosunku kobiety do mężczyzny słynne były a odczyt „Jednożeństwo i wielożeństwo“ przetłomaczony został na wszystkie niemal języki. Pani Marholm nie chcąc uznać wysoce etycznej tendencyi pism Björnsona, wykrawuje z nich luźne ustępy i chce go na śmiech wystawić, jakby szalonego proroka nowej religii absolutnej wstrzemięźliwości i zniszczenia nawet małżeństwa! Jest to fałszowanie rozmyślne, ale o to „wyższa“ kobieta nie troszczy się. Björnson jest dla niej człowiekiem fanatycznym i mimo swego uzdolnienia komicznym. „Zbyt muszkularny, aby delikatne zagadnienia życia odczuwać mógł“ narzucić radby swe tezy każdemu. Pani Marholm opowiada, że spotkawszy go w Bois de Boulogne wysłuchać musiała wykładu o przyszłej epoce, w której szlachetny mężczyzna i szlachetna kobieta żyć będę tylko w platonicznym czysto duchowym stosunku. W rok potem słyszała go wykładającego w Kopenhadze, że moralność wymagana od kobiety powinna stać się ogólnym wymogiem i względem mężczyzny. Björnson został prorokiem emancypacyi kobiet w Skandynawii — twierdzi autorka. Dla czego? nie mówi nam; a z wykładów podobnych nie można przecież żadnych wyciągnąć wniosków miłych „wyższym“ naturom. A sama autorka gniewa się na Björnsona dość otwarcie za to, że „to co jest ruchem i czynem uledz miało biernej liczebnie większej masie; że życie, temperament i nadwyżka sił mężczyzny pójść miały pod strychulec horyzontu kobiety“. Oczywiście, że związanie mężczyzny prawami moralności zapobiegłoby trwonieniu jego życia, temperamentu i nadwyżki sił przy pomocy wyjątkowych i po nad wszelkiemi prawami stojących kobiet. Jest o co się gniewać.

Björnson wyczytawszy tę charakterystykę swej osoby w dziele Laury Marholm posłał sprostowanie*) do tutejszej „*Neue Freie Presse*“; w którem zaprzecza, jakoby był kiedykolwiek zwolennikiem askezy w tem znaczeniu, jak to autorka przedstawia, zaprzecza, jakoby z nią kiedykolwiek w Bois de Boulogne o takich mówił kwestyach, jakoby był „prorokiem“ emancypacyi skandynawskiej, a jego wykład „o Jedno i wielożeństwie“ (tłómaczony zresztą i łatwo dostępny każdemu w niemieckim języku w Berlinie ogłoszony przez baronowę Mary Borch, — w polskim w Warszawie 1893) pobudzony został przez broni tendencyi, wreszcie ironicznie stwierdza, że muszkularność jego posiadali także Balzac, Maupassant i Ibsen a przecież byli psychologami. Pani Marholm jako kobieta nie dała za wygraną i ostatnie zachowała sobie słowo. W odpowiedzi na sprostowanie pani Marholm przytacza cały szereg utworów Björnsona, w których kobiety od mężczyzny wymagają bezwzględnej czystości i moralności — przed małżeństwem (i czego to dowodzi?!) a wreszcie kwestyę rozstrzygnąć chce w sposób czysto osobisty pomawiając Björnsona o gniewy za to, że nie chciała jego powieści „Na drogach Bożych“ tłómaczyć na język niemiecki. Na takim punkcie utknąć musi wszelka polemika. Jak długo Laura Marholm walczy o wolność kobiety i z zasadami poetów się spiera, można jej odpowiadać; kiedy tłómaczyć zaczyna jednak wszelkie odpowiedzi zaczepionego, gniewem i prywatą to chyba nie ma już co dalej z nią dyskutować, bo dyskusya jest w takich warunkach niemożliwą.

Przedwczoraj znany wam rzeźbiarz Roman Lewandowski pracujący tu nad zamówionym przez rząd dla parlamentu biustem Grocholskiego, przedstawiał licznie zgromadzonym w jego pracowni posłom i ministrom skończony model posągu. Obecni byli między innymi hr. Hohenwart, ekscel. Filip Zaleski, Chrzanowski, ministrowie Plener, Jaworski, Madejski. Wszyscy podziwiali nadzwyczajne podobieństwo twarzy i znakomite wykończenie najdrobniejszych w niej szczegółów. Wyraz oczu, pełne siły i energii rysy ust i charakterystyczne linie ich kątów ku brodzie się zaginające modelacya nosa i czoła pomarszczonego w głębokiem zamyśleniu, budzą uznanie i tych, którzy czcigodnego prezesa Koła nie znali. Wszyscy mówią, że będzie to jeden z najpiękniejszych biustów wystawionych tu w latach ostatnich. Wykonane w marmurze Tyrolskim popiersie osadzone będzie na trzymetrowem wzniesieniu. Aby z tej wysokości każdy szczegół był widziany, należy oczywiście zaostrzyć niejeden rys. Praca jednak dziś już jest jednem słowem znakomita.

MAŁY FELJETON.

Między nami nic nie było.

Między nami nic nie było,
Żadnych wyznań, zwierzeń żadnych,
Nic nas z sobą nie łączyło,
Prócz balowych nocy zdradnych,

Prócz tych blasków, szmerów, woni,
Unoszących się po sali;
Prócz jarzących świateł toni
I tanecznych dźwięków fali;

Prócz uśmiechów, spojrzeń, słówek
Lżejszych, płochszych od motyli;
Prócz spacerów i wędrówek
Po salonach w takt kadryli;

Prócz ognistych dwóch mazurów,
Których długo trwa wspomnienie;
Prócz pół setki walca turów,
Słodkich, rzewnych, jak marzenie,

Prócz rzuconych w tej gromadzie
Kilku westchnień mych ukradkiem,
Dwóch pośliznięć w galopadzie
I potrąceń trzech... przypadkiem,

Prócz urwanych konwersacyi,
Co się nigdy nie kończyło;
Prócz flirtacyi — przy kolacyi,
Między nami nic nie było!...

*) Sprostowanie to Björnstjerne Björnsona opiewa jak następuje:

„Pani Laura Marholm jest bardzo gospodarną damą, która umie mięso przyrządzać na więcej, niż jeden, sposobów. Zanim jednak nanowo przedstawi ona niemieckim czytelnikom literaturę norweską, pozwolę sobie zwrócić uwagę na następujące punkta: 1) Nigdy nie głosiłem nauki ascetyzmu, co zaś do nauki Tołstoja, jestem jej stanowczym przeciwnikiem. 2) Prelekcya, którą miałem „O monogamii i poligamii“, w przekładzie niemieckim baronowej Mary v. Borch ukazała się w Berlinie; przekona ona każdego o nieprawdzie twierdzeń pani Marholm. 3) Pogawędka, o której pani Marholm opowiada, że miałem ją z nią w Lasku Bulońskim, nigdy nie istniała. 4) Z norweskim ruchem kobiet nie stałem w żadnym stosunku, prócz tego, że nadsyłano mi organa prasowe owego związku. Nic też nie wiem o tem, że ruch ów ma swego „proroka“; ale jeśli to ja mam być nim, w takim razie ukrywano to ściśle przedemną. Wszystko, co Laura Marholm pisze o celach i istocie tego związku, jest wymysłem. 5) Nigdym dotąd nie był oskarżany o fanatyzm. Żaden może z pisarzy mego czasu na północy nie występował częściej jak ja w imię tolerancyi. Moje prace i moja działalność publiczna są tu niezaprzeczonymi świadkami. Te pięć punktów muszę objaśnić skromną uwagą: Jeżeli okoliczność, iż jestem „muskularnym“, ma mi przeszkadzać w tem, żebym był psychologiem, pocieszam się, że dzielę ten los z Balzakiem, Maupassantem i Ibsenem. W ogóle wstydzę się takich osobistych spraw poruszać; ponieważ jednak na lato przybędę — jak już od lat tylu — do Austryi, nie chcę więc tych, z którymi będę obcował, pozostawiać w niepewności co do prawdy tych oszczerstw.“ List ten datowany jest z Rzymu 12 lutego.

Upraszamy naszych prenumeratorów na prowincyi o wczesne odnawianie przedpłaty. Wynosi ona na prowincyi z przesyłką pocztową:

Miesięcznie 1 zł 10 ct.
Kwartalnie 3 „ 30 „
Półrocznie 6 „ 60 „
Rocznie 13 „ 20 „
Zmiana adresu kosztuje 20 ct.

KRONIKA.

Lwów 25 lutego.

Mianowania. Krajowa Dyrekcya skarbu zamianowała poborcami podatkowymi kontrolorów podatkowych: Józefa Schumachera, Władysława Stokłosińskiego, Jana Wawrowskiego; kontrolorami podatkowymi adjunktów podatkowych: Aleksandra Kunzego, Jana Rothauga, Wacława Chołoniewskiego, Mieczysława Smagłowskiego; wreszcie adjunktami podatkowymi praktykantów podatkowych: Aleksandra Warywodę, Aleksego Dawidowicza, Adolfa Lewickiego, Maryana Markowskiego, Jana Miliego, Mieczysława Nowaka, Kajetana Wałęgę, Ignacego Repczyńskiego, Władysława Doraua, Jana Skrowaczewskiego, oraz dyetaryuszy: Józefa Popiłkę i Aleksandra Wysokińskiego. — Minister sprawiedliwości zamianował zarządzcę męskiego zakładu karnego w Pradze Edwarda Axmana, dyrektorem męskiego zakładu karnego w Wiśniczu.

Konkursa. Rady szkolne okręgowe w Horodence i Pilznie rozpisały z terminem do końca marca konkurs na kilkadziesiąt posad nauczycielskich. — Dyrekcya poczt i telegrafów ogłasza z terminem do 7 marca konkurs na posadę ekspedyenta w urzędzie pocztowym w Białobożnicy w pow. czortkowskim.

Panią Skalskę, artystkę teatru lwowskiego, okradła jej służąca w chwili, gdy ona grała na scenie. Zabrała gotówkę i kosztowności i uciekła ze Lwowa.

Sokół lwowski odbył wczoraj doroczne walne zgromadzenie, na którem uchwalił budować drugą salę gimnastyczną na zakupionym już przed 4 laty gruncie i upoważnił wydział zaciągnąć na ten cel pożyczkę w wysokości 30.000 zł. Dokonano także wyboru zarządu. Prezesem wybrano dra Antoniego Dzięddzielewicza, wiceprezesem p. Ludwika Goltentala. W skład wydziału weszli pp. Juliusz Birkenmajer, Bolesław Błażek, dr. Kazimierz Czarnik, Edward Friedrich, Ferdynand Gąsiorowski, Józef Kriegseisen, Zygmunt Kunstmann, Romuald Kwiatkowski, Justyn Lang, dr. Stanisław Obmiński, Maryan Reiter, Ignacy Romanowski, dr. Teofil Stachiewicz, dr. Leonard Stahl, Józef Szeremeta, Franciszek Żmudziński.

Złodzieje we Lwowie coraz stają się zuchwalsi, co nocy prawie dokonują kilka śmiałych kradzieży z włamaniem i ogromne szkody wyrządzają kupcom i osobom prywatnym. Wczoraj w nocy rozbito dwa sklepy i jedną wystawę sklepową. W sklepie D. Branda przy ul. Krakowskiej l. 23 skradziono towarów galanteryjnych za 800 zł. Policya lwowska powinna rozwinąć energiczną działalność, podwoić czujność i dołożyć wszelkich starań, aby kradzieże te się nie powtarzały i nie narażały mieszkańców miasta na dotkliwe straty.

Walne zgromadzenie członków Towarzystwa prawniczego odbyło się dnia 22 b. m. pod przewodnictwem prezesa Towarzystwa, prezydenta wyższego sądu dra Tchórznickiego. Bez dyskusyi przyjęto do wiadomości sprawozdanie i uchwalono wydziałowi absolutoryum, poczem przystąpiono do wyborów. W miejsce członka wydziału prezydenta sądu pana Chorzemskiego, wybrano na okres dwóch lat radzcę Hausera, a w miejsce 7 wylosowanych członków wydziału, wybrano na 3 lata pp.: dr. Wacława Domaszewskiego, dyrektora Banku krajowego, dr. Stanisława Głąbińskiego, profesora uniwersytetu, dr. Godzimira Małachowskiego, adwokata krajowego, Karola Misińskiego, radzcę apelacyjnego, dr. Stanisława Nowosieleckiego, komisarza powiatowego, dr. Edmunda Kamieńskiego, adwokata krajowego i dr. Karola Stromengera, adwokata krajowego. Do komisyi rewizyjnej powołano pp.: dr. Jelenia, Marcelego Czaykowskiego i dr. Skowrońskiego na rok jeden. Ze sprawozdania wydziału za rok 1894 zaznaczamy, że Towarzystwo prawnicze lwowskie rozwija się pomyślnie. Liczy członków przeszło 300. Obrót kasowy wynosił około 6000 złr.

Z Baworowa piszą nam: Dnia 21 bm. pożegnaliśmy przezacnego i czcigodnego kapłana ks. Antoniego Pawłowskiego, przeniesionego do Koropca. Parafianie stracili w nim doskonałego kaznodzieję, spowiednika i męża przyświecającego cnotą, nieposzlakowanej prawości i gorliwości w swym zawodzie kapłańskim, szkoła zaś ojca przezacnej dobroci i swego duszpasterza, który młodociane umysły prowadził i oświecał. Cieszył się tu ogólną sympatyą, a szczególniej zjednał sobie wszystkich przez to, że lubiał wytknąć prawdę w oczy.

Nieszczęśliwy przypadek. Podczas zrzucania śniegu spadł wczoraj po południu o godzinie pół do 5-tej Tomasz Klimko z dachu 3-piętrowej kamienicy p. Wallacha w Rynku. Klimko był wprawdzie stosownie do przepisów obwiązany sznurem ratunkowym, ale trzymający koniec tego sznura drugi wyrobnik Jakubowski zamiast zająć miejsce w dymniku, gdzieby miał należyte oparcie i w razie wypadku mógł powstrzymać upadającego, wylazł również na dach. Gdy więc Klimko pośliznąwszy się zaczął spadać, pociągnął za sobą i Jakubowskiego, który nie mając na dachu silnego oparcia i widząc, że Klimka nie wstrzyma, lecz pociągnięty przez niego, runie wraz z nim na dół, ratując swe życie wypuścił sznur z ręki. Klimko spadł więc na bruk i tak się ciężko pokaleczył, że wkrótce wyzionął ducha. Jakubowskiego aresztowano i odstawiono do więzienia.

Z Poronina koło Zakopanego piszą nam: „Ponieważ w numerze 44 *Przeglądu* zestawiono temperaturę, jaka panowała dnia 18 bm. w rozmaitych punktach Europy, ośmielam się więc i ja donieść, że i u nas pod Tatrami dzień ów dał się nam bardzo we znaki, gdyż temperatura spadła do —32° C. i trwała prawie bez zmiany przez dwa dni następne.“

W ogóle okazuje się ze wszystkich relacyi, że dzień 18 bm. był najzimniejszym dniem w tegorocznej zimie.

Błędne wyrażenia. Jeden ze znawców językowych pisze co następuje:

Pisma nasze, które powinnyby stać na straży czystości mowy polskiej, nieraz srodze ją psują. Nie mówiąc już o owej zbyt wielkiej ilości wyrazów cudzoziemskich, którym gwałtem narzucają obce znaczenie (jak n. p. jeden z wynalazków J. I. Kraszewskiego: „zapoznany,“ co ma być francuskie „méconnu,“ gdy tymczasem po polsku „zapoznany“ jest to człowiek, który się z drugim zapoznał) — ale tak częste branie wyrazów swojskich w niewłaściwem znaczeniu jest również błędem krzyczącym.

Wiadomo np. iż każde wyznanie nadaje swoim duchownym odmienne nazwy: co innego jest rabin, a co innego mułła, co innego biskup a superintendent, co innego ksiądz, a co innego pastor. Tymczasem w pismach naszych czytamy nieraz „ksiądz pastor“ albo „biskup superintendent“. Ależ to jest poprostu nielogiczne i śmieszne, bo pastor, t. j. duchowny protestancki, nie może być jednocześnie księdzem, t. j. duchownym katolickim, ani superintendent nie może być jednocześnie biskupem. A zresztą wszakże ten wyraz polski „biskup,“ przerobiony z łacińskiego „episcopus,“ w pierwotnem swojem t. j. greckiem brzmieniu, oznacza patrzącego, czuwającego z góry, a to samo znaczy „superintendent,“ a więc pisać „superintendent-biskup,“ znaczy to samo jakby kogo tytułować „książę - princeps“, albo „hrabia-comes.“

Skoro tedy każde wyznanie ma swoje nazwy dla duchownych, a więc nikt nie ma prawa ich zmieniać, bo zamiast pochlebić, może im ubliżyć. Mówiąc o duchownych kościoła greckiego, dajemy im własne ich tytuły: archijereja, archimandryty, protojereja i t. d., jakich w innych wyznaniach nie ma; u katolików są: arcybiskupi, biskupi, kanonicy, proboszczowie i t. d.; u protestantów wszelkich odcieni — tylko pastorowie i superintendenci; u turków mułłowie, u żydów rabini. Jeżeli zaś zaczniemy mięszać wszystkie nazwy duchownych to niedługo czytać będziemy: ksiądz - mułła, albo nadrabin - biskup.

Również ludzie świeccy często nawet literaci z profesyi, nie umieją adresować listów do duchownych. Pisząc np. do kapłana świeckiego, adresują: „Wielebnemu księdzu temu a temu“. Tymczasem tytuł „wielebny“ i „przewielebny“ jest właściwym w liście tylko do zakonników, kapłanom zaś świeckim służy zwykły tytuł „wielmożny“, jeżeli nie mają innego z rodu, a począwszy od godności prałata, „jaśnie wielmożny“. Dla biskupa zaś tytuł „jaśnie wielmożny“ jest za mały i zawsze, a szczególniej w kościele, niewłaściwy. U nas przyjęty jest tytuł „Ekscelencyi“, a bardzo właściwy „Najdostojniejszy Pasterz“ lub „Jego Pasterska Mość“, albo „Jego Biskupia Mość“.

Upomnieć mi się także przy tej sposobności przychodzi za wyrazem „ubogi“, który niewłaściwie zamieniają na „biedny“, choć każdy z nich ma całkiem inne znaczenie. Można być bardzo bogatym, a jednak być biednym (tj. nieszczęśliwym) i nawzajem: być ubogim, a nie być wcale biednym, gdy się jest zadowolnionym ze swego losu.

Niewłaściwem więc jest pisać na skarbonkach „dla biednych“, albo: „Towarzystwo opieki nad biednemi matkami“, odzież dla „biednych dzieci“, przedstawienie „na biednych“ itd., bo tu jest mowa o ubogich, tj. potrzebujących pomocy materyalnej, a nie o biednych, tj. nieszczęśliwych. Że w mowie dawnej polskiej, antytezą „bogatego“ był „ubogi“ a nie „biedny“, dowodzi między innemi starodawna kolenda „Bóg się rodzi“, pełna nader podniosłych i czysto teologicznych antytez, w której między innemi czytamy:

Ubodzy was to spotkało
Witać Go przed bogaczami. —

A więc opierając się na powadze ks. Wujka, domniemanego autora tej kolendy, tych, którzy nie mają pieniędzy, nazywajmy ubogimi, jak ubogimi byli pastuszkowie betlejemscy, chociaż bynajmniej nie byli biednymi, gdyż poprzestawali na małem i byli szczęśliwi.

Paganini. Nazajutrz po rewolucyi lipcowej, czyli po gorączce politycznej nastąpił zapał do sztuki. Kwestye muzyki, malarstwa i poezyi stanęły na porządku dziennym. Ukazały się właśnie „Liście jesienne“ W. Hugo, Delacroix zwrócił powszechną uwagę swym obrazem „Dante i Wirgiliusz“. W Operze wystawiono „Roberta dyabła“, a młody rysownik, podpisujący się pseudonimem „Gavarni“, wypuszczał w obieg swoje karykatury.

W tej to chwili, po słynnej przejażdżce koncertowej w Anglii, zjawił się Paganini w Paryżu, ażeby dać szereg koncertów, tak, jak to już raz uczynił w roku 1829-tym.

Wówczas zadawano sobie naiwnie i szczerze pytanie, czy Nicolo Paganini jest istotnie człowiekiem? Błyszczeli naówczas jako pianiści: Liszt, Thalberg, Chopin i Wojciech Sowiński (autor Słownika muzycznego), ale jednomyślnie od brzegów Sekwany do Newy i Tamizy, przyznawano, że istnieje jeden tylko skrzypek, to jest Paganini. Tajemniczy ten Włoch nosił na karku szczególną głowę, nie poddającą się żadnej regule estetycznej, nie piękną, a przecież pociągającą w najwyższym stopniu, straszliwą i uśmiechniętą zarazem, co właśnie skłoniło Hoffmanna do wprowadzenia go do cyklu swoich ponurych fantazyj, jako żywioł demoniczny. Wszyscy też, patrząc na skrzypka, mówili: Zaiste, to demon!

Jako młody człowiek, debiutował on w Neapolu i Medyolanie, potem w Petersburgu i Wiedniu aż po 15-tu latach trudnych przejść chciał się dać poznać w Paryżu, skąd też wywiózł oprócz złota i sławę. Z Paryża pojechał do Londynu, gdzie najbogatsza arystokracya zasypała go oklaskami i banknotami. Paganini, zrodzony w ubóstwie, nie ukrywał się ze swym szacunkiem dla złota, to też, kiedy zmarł w Nizzy, zostawił małoletniemu swojemu synowi trzy miliony, które w r. 1840 stanowiły piękną fortunę. Juliusz Janin nazwał go Harpagonem dlatego, że nie chciał raz grać na cel dobroczynny, i odtąd męczył go i nękał ciągle. Zniechęcony cokolwiek szykaną fejletonisty, polubił samotność i dlatego może okazał się myślicielem. Listy jego, pisane między latami 1829 a 1835 dały go poznać, jako pokrewnego duchem Beethovenowi.

Paganini powrócił z półmilionem franków, nabrawszy tuszy, kiedy przedtem, widząc jego chudość, wątpiono, iżby przeżył klimat londyński. Lekarz jego wywnioskował, że „złoto tuczy“. Jeden z fejletonistów zapewniał złośliwie, że gdyby Paganiniego włożono w trumnę z masywnego złota, natychmiast za dotknięciem się szacownego metalu powstałby wskrzeszony. W Szkocyi i Irlandyi zabobonni mieszkańcy, ujrzawszy artystę, pewni byli, że to Belzebub trzyma smyczek. Biegano w szale słuchać go grającego i słuchać jego rozmowy dyabelskiej, okraszonej uśmiechem sardonicznym.

Otóż za powrotem Paganiniego do Paryża legendy o jego demonizmie i tajemniczości tylko się wzmogły. Ciekawi też byli wszyscy, co zrobił z półmilionem? Mówiono, że całe noce grywa we Frascati, że dlatego ma cerę trupio bladą i oczy głęboko zapadnięte. Inni mówili, że mu ciągle towarzyszy wierzyciel, który zabiera wszystkie jego dochody, jako słynnego rozpustnika i utracyusza. Rozmaitość tych najdziwaczniejszych pogłosek rosła ciągle, zamiast maleć!

Istotnie zaś Paganini był graczem... ale na skrzypcach, przepędzał całe noce... w swojem łóżku. Prawdą też było, że już nie ma półmiliona, bo go wysłał do Genui do swojego notaryusza.

Tajemnicą tylko pozostało, jakim sposobem wydobywał ze swego instrumentu te tony boskie? Cała Europa zadawała sobie tę zagadkę. Pewien Anglik, nazwiskiem Harrys, jeździł bez odpoczynku za Paganinim, chcąc wytropić ten sekret. Dzień i noc nadsłuchiwał, chcąc zbadać jego studya! Nadaremnie! Paganini już wcale nie studyował, stroił tylko skrzypce przed samem zaczęciem koncertu. I Meyerbeer przysiągł, że podpatrzy sekret mistrza i jeździł za nim po całych Niemczech. Słyszał go 19 razy i powrócił z niczem, mówiąc: „Z dyabłem trzyma ten Genueńczyk!“

Więc gdy i teraz ukazał się na estradzie, blady zawsze jeszcze i chudy, z długiemi, niedbale zaczesanemi włosy, z uśmiechem nadzwyczajnie ponętnym, i ze skrzypkami w ręku, zapanowała uroczysta cisza, ażeby się wnet zamienić w ekstazę, w szał, w uwielbienie bez granic, a grał fantazyę: „Taniec gwiazd“. A podczas tego nie dającego się opisać szału słynny rysownik Deveria chwytał rysy tryumfatora. — Ach! nieporównany artysta! — brzmiał jednomyślny okrzyk w całej sali.

Pewnego kwietniowego poranku przechadzał się Paganini po bulwarach włoskich, gdy nagle, stanąwszy przed wystawą rysunków, ujrzał litografię z podpisem: „Paganini w więzieniu“. Mimowoli brwi zmarszczył, ale spostrzegł zarazem, że przypatrujący się wystawie zaczęli litografię porównywać z nim samym. Na szczęście nadszedł Hektor Berlioz, więc Paganini, ująwszy go pod ramię, rzekł: „W więzieniu, ale gdzie? W Wenecyi, w Rzymie czy w Wiedniu? Faktem jest, że istnieje kilka historyjek, mogących stanowić temat kilku romansów“.

Berlioz zaciekawiony błagał go o szczerą spowiedź: „Dlaczego nie — odrzekł — Będzie temu z piętnaście lat, dawałem koncert w Padwie z dużem powodzeniem. Nazajutrz siedziałem przy table d'hôte wraz z sześćdziesięcioma innemi osobami. Nikt nie spostrzegł mojego wejścia. Przy deserze chwalono moją grę, na co jeden z biesiadników przerwał: „Nie ma się czemu dziwić, Paganini zawdzięcza swoją umiejętność pracy ośmioletniej, gdyż przez osiem lat siedział w więzieniu za zamordowanie swojego rywala“. Dalejże wszyscy przeklinać mordercę, wtedy ja zagadnąłem tego pana, kiedy i gdzie spełnił ten artysta zbrodnię? Wszyscy zwrócili oczy w tę stronę i osłupieli poznawszy mnie. Ów opowiadacz zaczął się jąkać i czemprędzej się ulotnił. Ale tego nie było dosyć. Podczas zimy w r. 1824 bawiłem w Wiedniu. Na jednym z koncertów grałem *Streghe* (Czarownice), które zrobiły

---

opieszałości Damianicza. Jakkolwiek po bitwie cofnął się, odniósł jednak poważny sukces, gdy zważymy, że wojsko cesarskie składało się ze starych, wypróbowanych pułków, gdy nowo utworzone węgierskie znajdowało się dopiero w stadyum organizacyi, a jednak dotrzymywało placu“.... Tenże dziejopisarz dodaje: „Wódz energiczny jak Bem, byłby sobie łatwo dał radę z Goergejem, albo powiedzmy raczej Goergej nie byłby śmiał sprzeciwiać się mężowi, jak Bem“. Co do nas, sądzimy, że ambitny Goergej byłby intrygował przeciwko każdemu wodzowi naczelnemu.

Bądź co bądź, 2 marca, wskutek podszeptów Goergeja, którym uległ także Klapka, coraz wyraźniej zaznaczał się w obozie rokosz. Dembiński wysłał do ministra wojny żądanie, aby przysłano pełnomocnika, celem rozpatrzenia nieznośnej sytuacyi. W nocy z 3 na 4 marca komisarz rządowy Szemere dowiedziawszy się, że generałowie zamierzają przemocą złożyć naczelnego wodza z urzędu, udał się na ich zebranie. Goergej wygłosił tam namiętną mowę przeciwko Dembińskiemu. Obecni zawołali, że trzeba natychmiast przystąpić do wyboru nowego wodza, poczem Goergej z udaną skromnością oświadczył, że nie ubiega się bynajmniej o tę godność, lecz jedynie interes ojczyzny zmusił go do tego kroku. Wtedy słaby Szemere zaproponował, aby sprawę odłożono do przybycia Kossutha i ministra wojny, ale zażądano tymczasem od Dembińskiego otoczenia się radą wojenną, złożoną z generałów Repasego, Aulicha i Goergeja, tudzież pułkownika Klapki.

O 4-tej po południu Szemere z wymienionymi dowódzcami udał się do Dembińskiego, który wręcz odmówił, zauważając: „Przyjm sam jako komisarz rządowy naczelne dowództwo, będziesz je lepiej sprawował, niż ci czterej panowie, którzy wyszli, co do mnie, gotowem cię wspierać, aż nadejdzie Kossuth“. Dyskusya skończyła się o 7-mej na tem, że Szemere, suspendując Dembińskiego z urzędu naczelnego wodza, oddał tymczasowo kierownictwo wojska Goergejowi jako najstarszemu generałowi.

Otrzymawszy odnośny rozkaz, Goergej natychmiast swego szefa sztabu Bayera wysłał do gen. Dembińskiego celem zażądania wydania protokołu rozkazów. Stanąwszy przed b. naczelnym wodzem w towarzystwie pułkownika Meszeny i majora Lazora, Bayer żądanie Goergeja wygłosił w tonie wyzywającym. Dembiński odparł: „Protokół rozkazów należy do przeszłości, a zatem do mnie; co dotyczy przyszłości i teraźniejszości, rozprawiłem się z komisarzem rządowym“. Gdy Bayer groził użyciem gwałtu, Dembiński uchwycił protokół lewą ręką, prawą dobył szabli i zawołał: „Dopóki ta dłoń zdoła trzymać szablę, druga nie wyda protokołu armii węgierskiej“. Bayer z towarzyszami wyszli, ale zostawili wartę grenadyerów z dywizyi Repasego w przedpokoju.

Wkrótce potem Goergej przyszedł do Szemerego i oznajmił mu, co się stało. Na zapytanie tegoż, czy bez owego protokołu nie może do jutra wydawać potrzebnych rozkazów, Goergej odparł: „Ależ owszem“. — „Czyliż zatem potrzeba zamieszanie, w jakiem się znajdujemy, zwiększyć jeszcze skandalem?“ — zapytał Szemere. — „Nie“, odparł Goergej spokojnie i odszedł, aby odwołać wartę, którą jednak już przedtem był usunął gen. Repasy, przepraszając Dembińskiego, że stało się to bez jego wiedzy. Jakoż w całej tej sprawie Goergejowi chodziło jedynie o to, aby usunąć zawarte w protokole rozkazów dowody swego nieposłuszeństwa.

Nazajutrz 5 marca Kossuth w towarzystwie ministra wojny Meszorosa i gen. Vettera przyjechał do Tisza Fuered. Wszyscy trzej przybyli z zamiarem przywrócenia karności w wojsku, gdyż inaczej „łódź państwowa rozbije się na wzburzonych falach“. Wszyscy trzej stali po stronie jen. Dembińskiego i byli oburzeni na Goergeja i jego frakcyę, „która swą zazdrością grozi ojczyźnie przyprawić o zgubę“. Gdy Szemere odezwał się, że Goergej jest niebezpiecznym człowiekiem, Kossuth odparł: „Nietylko niebezpiecznym, lecz zdrajcą, którego należy oddać pod sąd“.

Następnie w pomieszkaniu Kossutha odbyła się konferencya, w której, oprócz Dembińskiego, wzięli udział czterej wodzowie korpusów, Goergej, Repasy, Aulich i Klapka. Pomimo wszelkiej zuchwałości i dyalektycznej zręczności Goergeja, fakta stwierdzone protokołem rozkazów dziennych, tak wyraźnie przemawiały przeciwko niemu, że czuł się widocznie zakłopotanym. Kossuth zakończył obrady oświadczając Dembińskiemu, że rząd z pewnością potępi zajścia dnia poprzedniego.

Stało się jednak inaczej. Wieczorem Goergej udał się do Kossutha, z którym także nazajutrz naradzał się sam na sam. Z początku chłodny i zimny względem Goergeja, Kossuth stawał się coraz przyjaźniejszym. Dnia 7-go, nie pożegnawszy się z Dembińskim, odjechał do Debreczyna, gdzie sejm naczelne dowództwo nominalnie oddał staremu generałowi Vetterowi, gdy rzeczywistym wodzem stał się ambitny Goergej.

Z uczestników owych dramatycznych zajść w Tisza-Fueredzie, p. Szemere, po 14 kwietnia prezes nowego gabinetu, w dziele swem o powstaniu węgierskiem zupełną słuszność przyznaje Dembińskiemu i potępia zarówno Goergeja, jak Kossutha. „W tych smutnych wypadkach — zauważa — poznałem dwie rzeczy, najprzód, że Kossuth bał się Goergeja, potwóre, że Goergej jest przebiegłym hipokrytą. Dembińskiego obalił uporem i spiskiem, Kossutha zjednał sobie pochlebstwami i pozornem posłuszeństwem“. Wręcz też Szemere oświadcza, że w całej tej sprawie Goergej „nie kierował się miłością ojczyzny, lecz jedynie nienawiścią i oburzoną ambicyą“. Goergej sam w swej obronie gwałtownością wycieczek przeciwko Dembińskiemu zdradza przewrotność swej sprawy. Klapka w swych pamiętnikach broni się sofizmatami: „Chociaż uchwała odjęcia naczelnemu wodzowi komendy mogłaby się wydawać nadzwyczajną w regularnych wojskach, walczących w imię kaprysów swego pana, w tej chwili, gdy z każdą niebaczną ofiarą żołnierza ginęła część ojczyzny, była ona nietylko uzasadniona, lecz konieczna“.

Z późniejszych dziejopisarzy wojny węgierskiej najpoważniejsi stają po stronie Dembińskiego i potępiają „militarną próżność człowieka, którego Kossuth podniósł z pyłu“, który „bez serca i zdradliwie w tak krytycznej chwili stawił wszystko na jedną kartę“ i w wojsku zdobył sobie „wszechmocną popularność, godną ostracyzmu“.

E. L.

wielkie wrażenie. Jakiś blady i melancholijny jegomość jął opowiadać, że go nie dziwi moja gra, gdyż widzi dokładnie dyabła stojącego przy mnie i prowadzącego mój smyczek. Podobieństwo szatana ze mną wskazuje jasno moje pochodzenie. Odtąd wielu Wiedeńczyków i Wiedenek nabrało przekonania, że już znają sekret mego pochodzenia.

— Całe życie moje — dodał Paganini — zatrute było tego rodzaju pogłoskami, z początku chciałem udowodnić, że nie byłem nigdy mordercą, ani protegowanym przez szatana. Opowiadałem o pracowitych latach mojego dzieciństwa, gdyż od 19 roku życia musiałem na chleb zarabiać, a przez 16 lat byłem kapelmistrzem u pewnego księcia. Nic nie pomogło na głupotę ludzką, najlepszym dowodem rzeczona litografia.

Dodał jeszcze jedną anegdotę. Skrzypek, nazwiskiem Demonoschi, będąc w Medyolanie w roku 1800-nym, zaprzyjaźnił się z bandytami. Namówili, go, ażeby wraz z nimi zamordował proboszcza sąsiedniej wioski, bardzo bogatego. Na szczęście, w wilię dnia, w którym miano zbrodnię spełnić, Demonoschi'ego ruszyło sumienie i zaskarżył wspólników. Żandarmerya pochwyciła tamtych, których skazano na 20 lat więzienia, ale jenerał Menou, gubernator Medyolanu, wrócił artyście wolność po dwóch latach odsiedzianego więzienia.

Otóż na tem tle wyhaftowano całą historyę słynnego Genueńczyka. Chodziło tu o skrzypka, którego nazwisko kończyło się na *i*, a więc musiał nim być Paganini. Zamierzone morderstwo stało się zamordowaniem jego kochanki albo jego rywala. Co się zaś tyczy ukazania się dyabła w Wiedniu, początku tej baśni szukać trzeba w jednej z fantastycznych opowieści Hoffmanna.

Paganini umarł bogatym, sławnym i powszechnie żałowanym, lecz dopiero po jego śmierci ustały te baśnie i legendy. Wszak i Heine na pół sceptycznie, na pół z przekonania pisał o demoniczności Paganiniego, tymczasem dzisiaj, każdy w jego miejscu czułby się najszczęśliwszym z mnóstwa tych baśni i legend, gdyż byłyby one dla niego najpotężniejszą reklamą.

Zmarli. Sylwester Jaciewicz, notaryusz, umarł w Krośnie. Jak śp. Jaciewicz był tam ceniony, dowodzi to, że na wielu domach zawieszono żałobne chorągwie.

Stan powietrza. T. o 8 rano —3⁰ R. w poł. — 0⁰ R. Bar. 757. Spada. Prześliczna pogoda.

Ma jedną.

— Dla czego Helciu, cały dzień siedzisz w domu, czyż nie masz żadnej przyjaciółki, z którąbyś mogła pójść na spacer?

— Owszem mam jedną — ale jej nienawidzę!

Teatr. Dziś we wtorek „Manon Lescaut“, opera w 4 aktach Pucciniego. We środę „Ciepła wdówka“, komedya w 3 aktach Michała Bałuckiego. We czwartek „Manon Lescaut“. W piątek „Ciepła wdówka“.

Literatura i Sztuka.

* **„Manon Lescaut“.** Opera ta Pucciniego, od lat dwóch obiecywana, wystawiona wreszcie w ubiegłym tygodniu, przedstawiła się jako dzieło znacznej wartości, o dążnościach nowych, śmiałych, lecz o treści w małym stopniu przystępnej dla naszej publiczności. Treści tej szukać należy dopiero przeważnie w orkiestrze, ruchliwej, dowcipnej, przynoszącej liczne niespodzianki, częstokroć wykwintnej, prawie nigdy banalnej. Tam się rozgrywa dramat logicznie i dość prawdziwie, tam szukać należy wyjaśnienia sytuacyi i związku między niemi. Muzyka też uszlachetnia treść libretta, naiwnie rozwijającą się, nie budzącą interesu ani intrygą, ani skreśleniem charakterów. Co prawda, charakterów tych bladych nie oświetla i nie czyni bardziej zajmującemi osób działających, lecz odwraca uwagę od ich błędów organicznych, czyniąc ich zajmującymi pod względem muzykalnym. Faktura przypomina szkołę francuską, tak jest kapryśną, często bardziej kapryśną i dowcipną niż natchnioną, można też twierdzić, że więcej w muzyce tej rozumu niż duszy. Bez wątpienia też kompozytor inspirował się partyturą Wagnera, pisząc niektóre swe melodye „bez końca“ (np. Intermezzo), i naśladując jego tak charakterystyczne modulacye. Studya te nad Wagnerem zjednały orkiestrze jego brzmienie pełne, jędrne i silne. Polyfonii wagnerowskiej mało, prawie nie ma wcale w tej kompozycyi; autor całe staranie łoży na uwydatnienie plastyczne „jednej“ melodyi, powierza też ją znacznej ilości instrumentów i dozwala jej rozwijać się na tle harmonicznych figuracyi, często dowcipnie napisanych, jednak zawsze niemal prostych.

Jednolitość stylu nie jest zaletą tej opery; kompozytor chce zadowolnić wszystkich, to też przemawia stosownie do sytuacyi, których w operze tej wielka różnorodność i wzoruje się na stylu innych kompozytorów, jakiego ci w podobnych sytuacyach używali.

Na pochwałę tej opery powiedzieć trzeba, że elementa te różnorodne, nagromadzone w operze, spaja wielki talent w całość, jeśli nie organiczną, to przecież składającą się z ustępów dobrze powiązanych i zestawionych ze sobą w symetrycznym stosunku.

Niełatwe zadanie do spełnienia miał kompozytor w akcie pierwszym, chcąc stworzyć obraz pełen życia i humoru. Skoncentrował on akcyę, przedstawiając mistrzowsko współczesne rozwijanie się jej w kilku kierunkach — ze zrozumieniem wymagań sceny uniknął rozwlekłości, wyrażając się wszędzie z lakoniczną niemal zwięzłością. Nawet duet de Grieux'a i Manon, tak dopraszający się szerszego traktowania, kończy się, zanim słuchacz zdołał w nim zasmakować — zejście się powtórne kochanków i ich rozmowa w jeszcze szybszem tempie zbiegają się ku dowcipnemu rozwiązaniu.

Wyjątek niekorzystny stanowią oba duety Lescaut'a i Geronte'a. Pierwszy, w którym stary lowelas bada sierżanta i dobywa zeń wiadomości tyczących się jego siostry, rozgrywa się na tle chóru, niedyskretnie śpiewającego pełnem gardłem: Zapytania i odpowiedzi wypadają nieszczęśliwie na ustępy najsilniej brzmiące i nikną niesłyszane i niezrozumiane. Drugi duet wcale nie sceniczny, gdy Geronte dowiedziawszy się o ucieczce Manon, w zamiarze ścigania jej, pyta Lescauta o radę. Każde jego zapytanie poprzedza kłopotliwa pauza, krępująca niezręcznie gwałtowną akcyę i denerwująca słuchacza.

Poza tem jednak wszystko wre i porusza się w doskonałem tempie, chóry podzielone na grupy dzielnie zewsząd się odzywają, a wszystko to składa się na ogólne brzmienie, budzące interes, a czasem nawet olśniewające.

W akcie drugim obok wstępu orkiestry, charakteryzującego życie Manony bez treści i pełne błyskotek, zajmuje niepoślednie miejsce tuż idące solo Lescauta. Nie maluje ono charakteru tego niecponia, ciągnącego zyski z cnoty swej siostry, ale muzykalnie podoba się. Solo Manony, przechodzące następnie w duet obojga rodzeństwa, pozostawia słuchacza zimnym. Wejście śpiewaków z madrygałem w stylu archaicznym, chociaż wymaga subtelniejszych znawców, brzmieniem dźwięczącem mile wywiera na wszystkich korzystne wrażenie. Lekcya menuetu, w tym samym stylu sympatycznym, jest ustępem najpopularniejszym i istotnie pięknym, tak iż słuchałoby się go po dwakroć. Piękne są oba duety widzących się ukradkiem kochanków, piękny wreszcie tercet stojący na rozgraniczu między operą komiczną, która tu się kończy, a operą poważną, która przedstawia więzienie, deportacyę i śmierć lekkomyślnej dziewczyny.

Z duetu w akcie trzecim wieje niewiele ciepłego natchnienia, dopiero finał, rozwlekający się rozpaczliwie około melodyi ponurej jak gradowa ołowiana chmura, przerywany okrzykami tłumów i pełną jęku melodyą kochanków, pozostawia wrażenie przygnębiające, choć prawdziwe.

Szczegóły w akcie czwartym choć najwierniej może malujące sytuacyę, nie są zbyt zajmujące. Obok prawdy wyrazu i deklamacyi pełnej siły, obok opracowania starannego niewiele tam muzyki szczerej, która bądź co bądź w operze główną część składową stanowić winna.

Wykonanie w ogóle było ze strony solistów, chóru i orkiestry bardzo staranne.

Artyzm p. Myszugi (de Grieux) zdziałał wiele dla tej opery — i budził interes dla wszystkiego co wchodziło w zakres partyi tenora.

P. Kruszelnicka jako Manon była bardzo dobrą — a praca jej w akcie drugim, jej wdzięk w scenie menueta zasługują na szczere uznanie. Wokalnie również robiła dobre wrażenie, wyjąwszy tonów wysokiego rejestru, które należałoby zreformować. Mniej szerokie wymawianie słów, które śpiewaczka chce z naciskiem wymówić, byłoby również pożądane, wymowa wówczas zyskałaby na wdzięku i lekkości.

P. Szymański (Lescaut) zdziałał również nie mało dla swej partyi ani zbyt wdzięcznej, ani zbyt efektownej. Pojął ją muzykalnie starannie i z talentem.

P. Zegarkowski (Geronte) był bardzo poprawny, z rezygnacyą też choć z temperamentem spełnił swe trudne, a niewdzięczne zadanie.

Wystawa i kostyumy, jak wspomnieliśmy poprzednio, bogate, staranne i wierne, przyczyniały się w wielkim stopniu do zaprotegowania tej opery w obec naszej publiczności. *M. Sołtys.*

Rozmaitości.

— **Płeć trzecia.** Dotychczas znaliśmy dwie płci. męską i żeńską. Obecnie p. Wilhelm Ferrero wynalazł płeć trzecią. Mężczyźni należą do płci męskiej; kobiety, które wychodzą za mąż i zostają matkami, należą do płci żeńskiej; płeć trzecią, nijaką, mają stanowić kobiety niezamężne, które nie spełniają najważniejszego zadania, zleconego im przez naturę, nie znają macierzyństwa. Kobieta niezamężna nie jest całkowicie kobietą; należy ona do rodzaju nijakiego, który pod pewnymi względami traci cechy kobiece, pod pewnymi zaś pozyskuje cechy męskie. Płeć trzecia jednem słowem to stara panna, jak twierdzi p. Ferrero.

Rzecz swoją uzasadnia p. Ferrero w sposób następujący:

Na całej kuli ziemskiej tak mężczyźni, jak kobiety wiedzą dobrze, iż zawieranie małżeństw staje się coraz trudniejszem. Przeszkody na drodze do ołtarza piętrzą się coraz wyższe, zwłaszcza finansowej natury; niepodobna zaś przypuścić, aby wzrastająca wciąż liczba hołdowników — z musu czy z dobrej woli — celibatu nie wywierała pewnego wpływu na ustrój ogółu.

Anglia jest krajem, w którym najsilniej daje się uczuwać wpływ „tłumów bezżennych“ na ogół. Tam właśnie liczba kobiet niezamężnych (*spinsters*) jest olbrzymia, zwłaszcza wśród mieszczaństwa średnie zamożnego. W każdej prawie rodzinie znaleść można po parę, a często nawet po kilka starych panien, a wszystkie te przedstawicielki „płci trzeciej“ razem wzięte tworzą klasę społeczną bardzo silną, której wpływu pominąć niepodobna.

Rozliczne są takiego stanu rzeczy przyczyny; najważniejszą z nich jest bez wątpienia przewaga liczebna ludności żeńskiej nad męską, wywołana przez emigracyę. Kwiat młodzieży wyjeżdża do kolonii amerykańskich, indyjskich i australijskich, a każdy wyjeżdżający zmniejsza liczbę kandydatów do stanu małżeńskiego. Nadto coraz cięższe z roku na rok warunki ekonomiczne wpływają na zmniejszenie się liczby małżeństw: utrzymanie rodziny kosztuje drogo; mężczyzna czeka, aż, dorobiwszy się jakiej takiej fortunki, będzie mógł otoczyć ukochanych swoich w rodzinie pewnemi wygodami. Ale często chwila ta przychodzi dopiero w wieku dojrzałym, wówczas, gdy — jak mówi przysłowie — „chleb jest, ale już nie ma zębów, coby ten chleb gryzły.“

Naturalnym skutkiem takiego stanu rzeczy jest wtargnięcie kobiety na wszystkie pola działalności społecznej, na których dotychczas mężczyźni mieli monopol wyłączny. Żegnając się na zawsze z najgłówniejszemi zadaniami kobiety, z królowaniem przy domowem ognisku i z macierzyństwem, rozwijają w sobie natomiast niewiasty cechy odrębne, właściwe tej właśnie trzeciej płci, o której mówi Ferrero. Są one w wielu razach podobne do robot nic w ulu: są tak, jak one, inteligentne, czynne, odważne, wyższe częstokroć od osobników rodzaju męskiego; nie są już pszczołami żeńskiemi, ale nie są też męskiemi. Otóż te robotnice-kobiety wnoszą w życie wielkie zasoby siły, która im zapewnia niekiedy zupełne zwycięstwo. Zapytajcie kupców lub przemysłowców angielskich, którzy dają pracę tym licznym *spinsters*: powiedzą wam, że stare panny są nieporównane, jako pracownice. W ten sposób „płeć trzecia“ wytwarza poważną konkurencyę zarówno mężczyznom jak kobietom.

Nietylko w dziedzinie pracy zarobkowej staje się coraz widoczniejszy wpływ „płci trzeciej“ na ogół angielski; wpływy te dziś już są widoczne i w polityce. Dwie wielkie partye polityczne Anglii rachują się już z dwiema armiami amazonek politycznych: konserwatywni — z *Primrose League*, liberalni — z *Women's Liberal Federation*. Działalność tych dwóch stowarzyszeń kobiecych jest bardzo potężna podczas wyborów. Prawda, że do dwóch tych stowarzyszeń politycznych należą także i kobiety zamężne, odgrywają w nich jednak rolę podrzędną. Za to *spinsters* bogate, które nie potrzebują pracować na utrzymanie, zajmują tam stanowiska naczelne. Znajdziecie je na mitygach, w kampaniach wyborczych. Wpływ ich na razie jest tem większy, iż zabiegi ich są w chwili obecnej bezinteresowne najzupełniej; nie mogą mieć osobistych ambicyj politycznych, bo nie są wybieralne. Rzucają się więc w wir polityki dla wytworzenia sobie jakiegoś celu w życiu, a cel ten najczęściej znajdują w popieraniu kandydatów, którzy rzeczywiste mogą oddawać krajowi usługi. Coraz częściej zresztą *spinsters* angielskie stawiają na porządku dziennym kwestyę równouprawnienia kobiet w polityce; zdziałały już nawet dużo w tym kierunku. Ale w konserwatywnej Anglii dużo wody w Tamizie upłynie, zanim hasła i dążenia faktami się staną.

Zwiększająca się wciąż liczebnie „płeć trzecia“ wywiera wpływ i na literaturę angielską. Nigdzie w świecie nie jest tak rozwiniętą *pruderya* literacka, jak w Anglii. Nawet powagi naukowe, omawiając w swoich dziełach ścisłych sprawy drażliwe, proszą o pobłażanie swych czytelników. Czyni to niejednokrotnie Herbert Spencer w swej „Socyologii“. Dzieła Zoli, Armanda Sylvestra lub Catulle Mendesa nie miały nigdy popytu na angielskim rynku wydawniczym. „Anielskość“ często dochodząca do śmiesznej przesady, romansów angielskich, jest ogólnie znana.

Ale stałe wzmaganie się „płci trzeciej“ w Anglii ma także i wiele stron dodatnich. Nie mogąc praktykować miłości przy domowem ognisku i nad kolebką, *spinsters* angielskie dają ujście potrzebie swej natury, praktykując na najszerszą skalę — miłosierdzie. Anglia w samej rzeczy jest w chwili obecnej krajem, gdzie instytucye filantropijne do olbrzymich dochodzą rozmiarów, jakkolwiek religia anglikańska nie prze swoich wyznawców do czynów miłosierdzia, jak to czyni zawsze i wszędzie katolicyzm. Pomimo to dobroczynność przybiera w Anglii rozmiary nadzwyczajne, dzięki właśnie tym *spinsters*, starym pannom, tej „płci trzeciej“. We wszystkich prawie instytucyach filantropijnych znajdziecie *misses*, pracujące z zapałem i z zaparciem się siebie. One to kierują instytucyami, wyszukują fundusze, starają się zarówno o zniesienie niewolnictwa w koloniach, jak o udoskonalenie urządzeń domów zdrowia, przytułków, schronień; Anglia pełna jest sióstr miłosierdzia, które nigdy ślubów nie czyniły. Pod tym względem „płeć trzecia“ zachowała wszystkie dodatnie cechy płci słabej i wszystkie dodatnie płci silnej. Siła fizyczna idzie tu w parze z łagodnością dotknięcia ręki. Jest to bodaj najpiękniejsze zadanie, które stworzyła sobie „płeć trzecia,“ gdy ją warunki społeczne zmusiły do wytworzenia płci odrębnej.

Część ekonomiczna.

Z targu zbożowego Podwołoczyska 24 lutego. Jak w ubiegłym tak też i w bieżącym tygodniu najbardziej ożywiały ruch naszego targu pszenica a następnie żyto i owies. W skutek dotychczasowej taktyki wyczekującej oferentów, niemniej wskutek utrudnionego dowozu popyt o dobrą pszenicę powiększył się znacznie, to też ceny pszenicy z każdym dniem idą w górę. Za dobrą pszenicę płacono w ubiegłym tygodniu zł. 6·40 do 6·50 za 100 klg. netto loco Podwołoczyska. Strączkowe rośliny i groch w dobrych gatunkach bardzo są poszukiwane; gatunki średnie nie znajdują odbiorców, pomimo znacznej stosunkowo podaży. Koniczyna i siemię konopne silny napotykają odbyt. Płacono za zboże krajowe: pszenica złr. 6·40 do 6·50, żyto 4·50 do 4·60, jęczmień 4·— do 4·20, groch w miarę jakości 4·— do 7·— groch wybierany (Wiktorya) 8·— siemię konopne 8·15 do 8·25, konicz czerw. 55·— do 62·— konicz biały 90·— do 100·— za 100 klg. netto loco Podwołoczyska. Z Rosyi przybywa codziennie 30 do 40 wagonów rozmaitego gatunku zboża. Ceny niezmienione. Co do spirytusu ceny statecznie spadają, wskutek zupełnego zastoju i braku popytu. Marzec—maj złr. 13·— za 10000 L% loco Tarnopol.

§ **Wiedeń** 25 lutego. Pszenica na wiosnę 6·54—6·65, na maj-czerwiec 6·64—6·76, na jesień 7·02—7·13; żyto na wiosnę 5·60—5·67, na maj-czerwiec 5·71—5·78, na jesień 6·03—6·12; owies na wiosnę 6·17—6·23, na maj-czerwiec 6·19—6·25; kukurudza maj-czerwiec 1895 6·39 do 6·47, kukurudza na lipiec-sierpień 6·35—6·39, rzepak na sierpień-wrzesień 11·00—11·10.

§ **Z targu bydła.** Wiedeń 25 lutego. Na targ dzisiejszy dowieziono wołów galicyjskich 4882, ceny za woły galicyjskie lichsze, lekkie od 55 do 57, ciężkie od 58 do 59, osobliwe prima od 60 do 62.

Telegramy „Przeglądu“.

Wiedeń 26 lutego. Wczoraj przed południem tłumy publiczności zwiedzały wystawione w kościele zamkowym zwłoki arcyks. Albrechta. Srebrna trumna ze zwłokami spoczywa pod czarnym baldachimem na katafalku, pokrytym złotogłowiem. Na taburetach ustawionych koło katafalku złożono koronę arcyksiążęcą, ordery zmarłego, tudzież austryacką i pruską buławę marszałkowską. Wszystkie ołtarze w kościele pokryte są czarnym kirem, a przy trzech odprawiano bezustannie msze św.

W południe dopuszczono do zwiedzenia zwłok korpus oficerski i urzędników dworskich, a popołudniu do godziny 4tej zwiedzała je znów publiczność.

Zjazd obcych książąt i deputacyi coraz liczniejszy. Wczoraj rano przybył książę bawarski Arnulf, popołudniu zaś saska deputacya wojskowa. Książę saski Jerzy przybył o godzinie 2 po południu. Na dworcu powitał go Cesarz w mundurze saskim. O godz. 4-tej po południu przybył wielki ks. Włodzimierz i powitany został na dworcu przez Cesarza w mundurze rosyjskim. Powitanie było bardzo serdeczne. Wielki książę zamieszkał w ambasadzie rosyjskiej. Książę Aosty przybył o godzinie trzy kwandranse na 10 wieczorem. Na dworcu oczekiwał nań Cesarz w towarzystwie wszystkich arcyksiążąt i przywitał się z nim serdecznie kilkakrotnem uściśnieniem dłoni. Z dworca odprowadził Cesarz księcia Aosty do hotelu Imperial. Przybyła także deputacya bułgarska, składająca się z ministra wojny Petrowa, jenerała Miszkonicza i rotmistrza Mikołajewicza.

Dziś rano przybywa tu cesarz niemiecki z wielkim orszakiem, w skład którego wchodzą pułkownik gwardyi jenerał Loë, jenerał Hahnke, marszałek dworu hr. Eulenburg, tajny radzca Lucanus, jeneralny adjutant Plessen, lekarz przyboczny Lenthold, pułkownik Deines, podpułkownik Kalkstein, kapitan marynarki Arnim i radzca dworu Schwerin. Służbę honorową przy cesarzu niemieckim pełnić będą jenerał broni ks. Lobkowicz, pułkownik Stoehr i adjutant przyboczny Butter. Ceremoniał pogrzebowy zmieniono w ten sposób, że za trumną obok Cesarza iść będzie cesarz niemiecki, a także w kościele ustawiony będzie dla niego klęcznik tuż obok Cesarza austryackiego. Prezydenta republiki francuskiej i rząd francuski reprezentować będzie na pogrzebie tutejszy ambasador p. Lozé.

Wczoraj w południe przyjmował Cesarz przybyłych tu na pogrzeb książąt niemieckich i członków obcych deputacyi, między nimi marszałka hiszpańskiego Martinez Campos'a. Wieczorem odbył się w apartamentach arcyksięcia Karola Ludwika obiad dla obcych książąt. Cesarz i arcyksiążęta, chcąc uczcić obecnego na tym objedzie wielkiego księcia Włodzimierza, mieli na sobie mundury rosyjskie.

Wiedeń 26 lutego. Na wczorajszem posiedzeniu Koła polskiego p. Piniński oświadczył imieniem komisyi dla ustawy karnej, iż komisya ta porozumiała się z rządem i stronnictwami i postanowiła do niektórych politycznych przestępstw zastosować łagodniejsze określenia. Tak przy paragrafach 110 do 113 i 128 do 130 za inicyatywą Koła polskiego postanowiono, że zamiast „zachęcanie i wzywanie do karygodnych czynności“ ma brzmieć: „zachęcanie i wzywanie do zbrodni i przestępstw“. Dalej przy karach za ogłaszanie tajemnic służbowych ma przyjść dodatek, według którego podlega karze niedyskrecya „świadomie“ popełniona ze szkodą interesu publicznego. Przy karach za ogłaszanie spraw zdań z rozpraw tajnych ma przyjść dodatek „o ile to ogłoszenie obraża moralność publiczną“.

P. Lewicki podziękował referentowi za uwzględnienie tych życzeń i żądał prócz tego wyeliminowania paragrafu o strejkach.

Pp. Abrahamowicz i Chrzanowski żądają, aby wzywanie i podburzanie odnosiły się tylko do zbrodni, a nie do przestępstw.

P. Rutowski zwrócił uwagę, że towarzystwo dziennikarzy wiedeńskich „Concordia“ zaprosiło pewną liczbę posłów w celu obrad nad ustawą karną, o ile ona dotyczy prasy i sądzi, że najlepiejby było odroczyć powzięcie uchwały aż do ukończenia tych obrad. P. Lewicki sądzi, że lepiej jest rozpocząć obrady z uchwalonemi już dodatkami. Po zgodzeniu się na to p. Rutowskiego, uchwalono wszystkie powyższe zmiany. P. Lewakowski zapowiedział wniosek w kwestyi emigracyi włościan do Ameryki. Prezes obiecał, że sprawę tę postawi na porządku dziennym przyszłego posiedzenia.

Rozpoczęto następnie dyskusyę o reformie podatkowej. P. Żuk-Skarszewski oświadczył się przeciwko podatkowi osobisto-dochodowemu, ponieważ podatek ten jest niemoralnym, pociąga bowiem za sobą „buszowanie w cudzych kieszeniach“.

P. Piniński uznaje chwalebny cel reformy, ma jednak wątpliwości, czy ona odpowiada naszym warunkom; przy znanych przymiotach organów podatkowych każdy nowy podatek będzie uciążliwym. Szczególnie oświadcza się mówca przeciwko utworzeniu komisyi szacunkowej, ponieważ Galicya pod tym względem nie jest jeszcze dojrzałą, jak również przeciwko skontyngentowaniu podatku zarobkowego i żąda zaprowadzenia pewnej różnicy w skali podatkowej pomiędzy dochodem ugruntowanym a nie ugruntowanym i to na korzyść pierwszego. Reforma wyborcza znajduje się w ścisłym związku z reformą podatkową, ponieważ wielu dotychczasowych wyborców, jako nieopłacających podatku, straciłoby prawo wyboru. Pos. Chrzanowski oświadcza się za reformą podatkową przy jednoczesnej rewizyi podatku gruntowego.

Po przemówieniu jeszcze kilku posłów odroczono dyskusyę do czwartku.

Wiedeń 26 lutego. Rada zawiadowcza austryackiego Zakładu kredytowego uchwaliła wypłacić akcyonaryuszom za rok 1894 dywidendę 19 zł., tj. taką samą jak za rok 1893. Wiadomość o tem postanowieniu rady zawiadowczej rozeszła się wczoraj podczas prywatnych wieczornych obrotów giełdowych i chwilowo powstrzymała dalszą zniżkę kursu kredytów.

Berlin 26 lutego. Cesarz Wilhelm z orszakiem odjechał ztąd do Wiednia osobnym pociągiem wczoraj o godzinie pół do 8-mej wieczorem. Na dworzec przybył ambasador austryacki p. Szögyeni.

Wiedeń 26 lutego. Na wczorajszem posiedzeniu rady sanitarnej skonstatował referent sanitarny dr. Kusy, że cholera w całej Austryi już wygasł.

Oficerowie przeznaczeni do pełnienia służby honorowej przy cesarzu niemieckim, wyjechali na jego spotkanie do Gaensendorfu.

Wiedeń 26 lutego. Cesarz niemiecki przybył tu dziś o 11 przed południem. Na dworcu kolei północnej oczekiwał nań Cesarz w towarzystwie wszystkich arcyksiążąt. Powitanie było bardzo serdeczne. Obaj monarchowie udali się z dworca do Burgu, a liczne tłumy ludności witały ich z uszanowaniem.

Także dziś mnóstwo osób odwiedziło zwłoki arcyksięcia. O 11 zamknięto wstęp do kościoła dla publiczności. Od 11 do 12 mogli je odwiedzać tylko oficerowie.

Do dzisiejszego numeru dołączamy dla wszystkich prenumeratorów Cennik towarów kolonialnych handlu St. Markiewicza we Lwowie.

HOTEL EUROPEJSKI.
ALBERT SZKOWRON i Spółka.
Lwów — Plac Maryacki.

Przyjechali dnia 25 lutego. L. Diehl z Hanau. J. Stepkiewicz z Stokerau. A. Sym z Zielonej. J. Petry z Bolechowa. E. Sirko z Ładyczyna J. Stankiewicz z Wolicy. F. Stanek z Wiszenki. Dr. J. Dorożyński z Borszczowa. A. Willian z Stanisławowa. A. Kovac z Ungraz.

HOTEL ŻORŻA.
Lwów — Plac Maryacki.

Przyjechali dnia 25 lutego. J. ks. Jabłonowska z Bursztyna. W. Niezabitowski z Łanek. H. ks. Lubomirski z Rozwadowa. A. Mysłowski z Zubrza. St. Zwolski z Bryniec. A. Weisbach z Skolego. J. Zadoński z Charkowa.

Nadesłane.

Rubryka ta nie pochodzi od Redakcyi, nie bierze też ona za nią na siebie żadnej odpowiedzialności.

Kasyno miejskie. W środę 27 b. m, pogawędka przy śledziu. Panie biorą udział. Początek o 8 wieczór.

Lwów dnia 26 lutego (Z Izby handlowej).

Akcye za sztukę: Kolej gal. Karola Ludwika 200 zł. m. k. 219·50 do 222·50, Kolej Lwowsko-Czern.-Jasska po 200 zł. w. a. 308. – do 311·—, Banku hypotecznego po 200 zł. w. a. 470.— do —.—.

Listy zastawne za 100 zł.: Banku hipot. galic. 5 proc. los. w 40 lat. 101·30 do 102·—, 5 proc. z 10 proc. prem. 110·30 do 111·—, 4 i pół proc. los. w 50 lat. 100.15 100·85, Banku kraj. 4 i pół. proc. los. w 51 lat. 100·80 do 101.50, Banku kraj. 4 proc. los. 57 lat. 97·50 do 98·20 Tow. kred. gal. ziem. 4 proc. (I emisya) 98·50 do 99·20, 4 proc. los. w 41 i pół latach 98·— do 98·70, 4 proc. los. w 56 lat. 97·80 do 98·50.

Wiedeń 25 lutego. Notowania wieczorne. Kredyty 396·—, węgierskie kredyty 461.25, anglobank 170·00, bankverein 150·50, uniony 319·50, länderbank 282·50, akcye kolei państwowych 384·—, lombardy 103·50, elbethal 274.—, akcye tytoniowe 243·—, rima 265.—, alpiny 83·25, renta majowa 101.50, węg. renta złota 123·90, austr. renta koronna 100·00, węgierska renta koronna 98·90, losy tureckie 73·10, marki 60·45, ruble 132·25.

(Jeżeli porównamy te kursa z kursami z przed tygodnia, t. j. ze soboty 16 lutego, to zobaczymy, że kurs austryackich kredytów spadł o 18 zł. 75 ct., węgierskich o 39 zł. 50 ct., anglobanku o 14 zł., bankvereinu o 10 zł. 50 ct., unionbanku o 9 zł. 75 ct., länderbanków o 5 zł. 50 ct., Statsbahnów o 14 zł. 75 ct., lombardów o 3 zł. 50 ct., Elbethalów o 4 zł. 25 ct., alpinów o 7 zł. 75 ct. Renty stosunkowo nie wiele ucierpiały: wspólna spadła o 60 ct., węgierska złota o 70 ct., austryacka koronna o 1 zł. 15 ct., węgierska koronna o 55 ct. — *Przyp Red*)

Wiedeń 26 lutego (godz. 11 w połudn.) Kredyty 390.50, kred. węg. 461.25, Anglobanki 168.50, Uniony 316.—, Bankvereiny 152·50, Länderbanki 282.50, Akcye tyton. 243.25, Staatsbahny 381.50, Lomb. (z kup.) 103.75, Elbethale 272·50, Renta pap. 101.35, Renta węg. 4% kor. —.—, Renta węgierska złota 4% —.—, Alpiny 80·25, Marki 60·45, Losy tureckie 73·10

RUCH POCIĄGÓW.

Czas środkowo-europejski, wcześniejszy od lwowskiego o 36 minut.

Odchodzą do:	Pociągi pośpieszne		Pociągi osobowe		
Krakowa, Wiednia, Wrocławia, Berlina	2·24	**10·10**	**4·50**	10·35	**6·55**
Warszawy	—	**10·10**	**4·50**	—	**6·55**
Chabówki (Zakopanego) via Tarnów lub Rzeszów	—	**10·10**	—	—	—
Chabówki przez Rzeszów lub Przemyśl	—	—	—	10.35	—
Chabówki przez Stryj	—	—	9·50	**7·10**	—
Muszyny Krynicy, Żegiestowa przez Tarnów lub Rzeszów	—	**10·10**	—	—	—
Muszyny-Krynicy, Żeg. przez Tarnów	—	—	**4·50**	—	—
M.-Kr. Żeg. przez Stryj	—	—	—	**7·10**	
Mezö-Lab., Szczawnego Kulaszn**ego** via Przemyśl	—	—	—	—	**6·55**
Nadbrzezia i Tarnobrz.	—	**10·10**	**4·50**	—	—
Podw. i Brod. z dw. gł.	6·08	2·44	9·4[illegible]	**10·20**	—
„ „ z Podz	6·22	2·36	10·04	**10·47**	—
Suczawy	6·15	—	10·15	2·55	**10·30**
Czortkowa przez Halicz	—	—	—	2·55	—
Husiatyna przez Halicz	6·15	—	—	—	**10·30**
Słobody rung. Kopalni	—	—	10·15	—	**10·30**
Nowosielicy	6·15	—	—	—	**10·30**
Berhometu, Czudyna	6·15	—	—	—	—
Radowiec	6·15	—	10.15	—	**10·30**
Kimpolungu	6·15	—	—	2·55	—
Sokala	—	—	9·20	**6·45**	—
Bełzca	—	—	9·20	—	—
Borysławia przez Stryj	—	—	**5·40**	9·50	—
Ławocznego, Munkacza Szereucz Miskolcz, Peszt Chyrowa przez Stryj	—	—	**5·40**	—	**7·10**
Stanisławowa, Doliny, Bolechowa przez Stryj	—	—	—	9·50	**7·10**
Skolego i Chyr. via Stryj	—	—	—	9·50	—
Stryja i Skolego	—	—	—	8·05	—
Przychodzą z:					
Krakowa (Berlina, Wrocławia, Wiednia)	2·32	5·25	9·00	**6·10**	**9·00**
Warszawy	—	5·25	9·00	—	**9·00**
Chabówki (Zakop.) przez Przem. Rzesz. lub Tarn.	2·32	—	—	—	—
Chabówki przez Rzeszów lub Tarnów	—	5·25	—	—	—
Chabówki przez Stryj	—	—	8·34	—	—
Muszyny-Krynicy, Żegiestowa przez Tarnów	—	—	—	—	**9·00**
Musz.-Kryn. Żeg. przez Rzeszów lub Tarnów	—	5·25	—	—	—
Mezö-Lab., Szczawnego-Kulesz. przez Przemyśl	—	—	9·00	—	—
Nadbrzezia i Tarnobrz.	—	—	—	**6·10**	—
Podw. i Brodów dw. gł.	2·12	**9·29**	9·10	**5·45**	—
Podw. i Brodów Podz.	1·58	**9·13**	8·45	5·19	—
Suczawy	**9·40**	—	7·37	12·27	**6·35**
Kimpolungu	**9·40**	—	7.37	—	—
Radowiec	**9·40**	—	7·37	—	**6·35**
Berhometu i Czudyna	**9·40**	—	—	—	—
Nowosielicy	**9·40**	—	7.37	—	—
Słobody rung. Kopalni	**9·40**	—	—	—	**6·35**
Husiatyna przez Halicz	**9·40**	—	7.37	—	—
Czortkowa przez Halicz	—	—	—	12·27	—
Borysławia przez Stryj	—	—	2·02	**12·10**	—
Bełzca	—	—	—	4·45	—
Sokala	—	—	7·48	4·45	—
Ławocznego (Pesztu, Misk., Sz. Munk.) Chyr. i Stanisł. przez Stryj	—	—	8·34	**12·10**	—
Stryja i Skolego	—	—	**8·47**	—	—
Skolego, Chyrowa i Stanisławowa przez Stryj	—	—	2·02	—	—

Uwaga: Godziny drukowane grubemi liczbami oznaczają porę nocną od 6 wieczorem do godz. 5 m. 59 rano.

W biórze informacyjnem c. k. austr. kolei państwowych we Lwowie, ul. Trzeciego Maja l. 3 (Hotel Imperial) jest sprzedaż biletów strefowych, okrężnych, dowolnie zestawialnych, zeszytów do jazdy, taryf i rozkładów jazdy w formacie kieszonkowym. Informacye w sprawach taryfowych i przewozowych.

39)

OSTATNI WYROK

POWIEŚĆ

MAKSWELLA GRAYA.

Tłómaczyła z angielskiego baronowa Zofia Hartingh.

(Ciąg dalszy).

Wszystkie te szczegóły, pochwycone przez lokalne pisma, dały wątek do tysiąca różnorodnych przypuszczeń i gawęd, które powtarzano sobie chciwie z ust do ust. Plotki te, po większej części pozbawione wszelkiej podstawy, nie doszły nigdy do uszu osób interesowanych; rodzina Marlowe bowiem zaraz po pogrzebie opuściła Cottesloe Grange.

W rzeczach pozostałych po denatce nie znaleziono nic takiego, coby naprowadziło na ślad jakiego odkrycia. Dziecko jedno tylko umiało objaśnić, że matce na imię było Renata. Po katastrofie w kościele, której omal że nie przypłaciła życiem, biedna kobieta ogołocona została ze wszystkiego, a nie posiadała dostatecznych środków, aby zakupić zapas odzienia dla siebie i dla córki. Bielizna jej więc nie była poznaczoną, a wśród niej znaleziono tylko nową i nie podpisaną żadnem nazwiskiem książeczkę do nabożeństwa.

Ale podczas trwania śledztwa była ciągła obawa, aby jaki drobny dowód nie rzucił światła na całą tajemnicę; Andrzej więc, trzymając się o ile możności na uboczu, słuchał całego przebiegu sprawy z przeświadczeniem, że los jego zawisł od każdego słowa i że zapomniana jakaś koperta albo znak na chustce od nosa, wyświetlą stosunek jego do nieboszczki. Jego własny udział w indagacyi ograniczył się na zeznaniu, iż stojąc w pobliżu zaspy w dzień Bożego Narodzenia spostrzegł błyszczący jakiś przedmiot na śniegu, przekonawszy się zaś po bliższem rozpatrzeniu, iż był to krzyżyk przyczepiony do różańca przytrzymywanego w głębi zaspy przez zamarzłą jakąś rękę, przywołał niezwłocznie swego służącego, sam zaś pobiegł uprzedzić brata i usunąć chłopców.

W krótkich i spokojnych słowach wypowiadając to zeznanie, musiał jednak Andrzej kilkakrotnie przesunąć chustką po czole, na które pot występował rzęsiście. Dopiero po ukończeniu śledztwa, szczegółowem przetrząśnięciu ubrania zmarłej, przesłuchaniu wszystkich świadków, zwiedzeniu miejsca pod sosną i ostatecznem podpisaniu protokołu, doznał on pewnej ulgi w straszliwem natężeniu wszystkich swoich władz umysłowych. Wydało mu się, że stawy rozchodzą mu się w zgięciach rąk i kolan, mgła jakaś przesłoniła mu oczy, a w mózgu powstał taki chaos rozpętanych myśli, iż jedynie szalonym wysiłkiem woli powstrzymał się, aby nie runąć bezprzytomny na ziemię.

Nazajutrz rano Bob Ryall z całych sił musiał nim wstrząsać w łóżku, aby go przebudzić. Przestraszony sługa był przekonany, że pan jego przesadził dozę jakiegoś usypiającego lekarstwa. W końcu jednak Andrzej otworzył szeroko oczy błyszczące przerażeniem i zrywając się, zawołał gorączkowo:

— O! Bobie... jaki okropny sen miałem!... Ale to już przeszło...

— Zmęczył się pan znowu, ślęcząc nad temi książkami — odparł Bob. — Niechże pan rzuci do licha to czytanie, bo nam się pan jeszcze rozchoruje.

Ale gdy zamknął drzwi za sobą, przywiązany chłopak pokiwał smutnie głową.

— To nie mózg u niego przeładowany, ale serce. Bóg... jeden wie, jakiej on sobie tam biedy napytał i czy się z niej kiedykolwiek wygrzebie... Biedne panisko!

Srebrny łańcuch został nareszcie przerwany. Kilka paciorków różańca pozostało wprawdzie w ręce zmarłej, ale resztę obcięto z obu stron, aby pozostawić małej Andrei pamiątkę po matce i zarazem dowód jakiś, po którym krewni mogliby ją poznać w razie jeżeliby upomnieli się o nią skutkiem ogłoszenia podanego do gazet.

Ale Andrzej nie obawiał się niczego z tej strony. Odpisał przełożonej pensyi, na której była Renata, zwracając jej małą sumkę, którą powierzyła jego żonie na drogę i sformułował list tak dyplomatycznie, iż ta mogła z niego wnosić, że wszystko ułożyło się pomyślnie. Co się tyczy starych Kéronac'ów, ci nigdy nie czytywali gazet; w każdym razie, gdyby nawet zdobyli się na list, to nie tak prędko, że zaś Renata nie mogła wskazać im żadnego adresu, zatem stracili zupełnie jego ślady. O ile sięgało ludzkie przewidywanie, o tyle Andrzej czuł się zabezpieczonym.

Cześć pośmiertna, oddana jego żonie, była jakby bolesną ironią jej losu. Wszystko odbyło się nieomal tak uroczyście, jak gdyby Renata uznaną była przez rodzinę. Wyniesiono ją z domu ojca mężowskiego na zaciszny, wiejski cmentarz i pochowano na gruncie należącym wyłącznie do Marlowów, tuż obok naznaczonej krzyżem mogiłki małego braciszka Andrzeja. Tu nieraz w pogodny wieczór letni lady Zuzanna opowiadała mu o straconem dziecięciu, którego duszyczka poszła do Boga na wieczną służbę, wtedy gdy ciałko przyjęła do łona swego ta ziemia, na której porastały stokrótki i jaskry. Tu myśl Andrzeja po raz pierwszy zwróciła się ku prawdom wyższym i tajemnicom życia i śmierci. Dzieckiem ukochał to miejsce, po którem uroczyste jakieś tchnienie wieczności zdawało się przelatywać wśród kielichów białych róż i ciemnej zieleni cyprysów; tu poznał on, co to jest stracić ukochanie swoje, poznał tajemniczy związek pomiędzy światem materyi a ducha. To też to zaciszne pole Boże zasiane krzyżami, powleczone cmentarną darnią, staczając się łagodnym spadkiem aż do podnóża góry, było ulubionem miejscem dumań młodego poety. Ostatni odpoczynek w tej uświęconej łzami wspomnień serdecznych ziemi był smutnym, pośmiertnym tryumfem dla Renaty Marlowe.

Gdy ją składano do grobu, mróz zelżał w łagodnym południowym wietrzyku, a słońce snop jasnych promieni rzuciło na głowę śpiącej wśród kwiatów. Wdowiec jakby przez sen słyszał solennie patetyczne słowa psalmów i modlitw odmawianych nad otwartą mogiłą. Przed oczami miał wciąż Renatę kwitnącą wdziękiem i młodością, śpiewającą echom dębowego boru, zgiętą w pół nad pszenicznym łanem lub przędącą kądziel przy rozpalonym łuczywie. Dopiero, gdy sypiące się grudki ziemi z głuchym łoskotem uderzyły o czarne wieko trumny, na której złotemi literami stało wypisane „Renata“, on drgnął zbudzony z posępnej zadumy i z cichym jękiem przysłonił twarz obu rękami.

Tego wieczoru już nic nie tamowało wesołości w Cottesloe Grange. Muzyka, śpiewy i głośne wybuchy dziecięcego śmiechu rozbrzmiewały po pokojach, domownicy i służba przestali rozmawiać półgłosem, a chłopcy wynagradzali sobie kilkodniowy przymus hałasując swobodnie po korytarzach.

Śnieg stopniał z dachów i drzew parku, wydmy traciły dziwaczne kształty swoje, rzeka uwolniona z lodowych pętów płynęła swobodnie, wolnym biegiem zdążając ku morzu, a o zmroku spadł ciepły deszczyk, który zapowiedział zupełną odwilż na dzień następny.

— Twój organizm nie znosi widocznie mrozu — rzekła Gracya do Andrzeja. — Zauważyłam, że od tej ślizgawki na lodzie byłeś dziwnie nieswój i nerwowy.

— Och! cóż znowu? — odpowiedział, rumieniąc się. — Mężczyźnie nie wolno jest mieć nerwów. Wyznaję jednak, że zimno źle oddziaływa na mój temperament, a co się tyczy śniegu chciałbym nie widzieć go więcej nigdy w życiu.

Gracya umilkła siedząc zamyślona na taborecie przy fortepianie z główką podpartą na ręce.

— Czy to było istotnie tylko działanie mrozu? — spytała po chwili bardzo cicho tonem do głębi przejmującym — czy też może już trochę zaczynałeś żałować?...

On szybko spojrzał na nią, przykro zdziwiony jej słowami, a zachwyciwszy światła z jej oczu, pochylił się nizko i długi, milczący, namiętny pocałunek wycisnął na jej małej rączce, której mu wziąć nie wzbraniała.

Gdy podniósł głowę, już odzyskał spokój nad sobą i roześmiał się dziwnym nieco, przymuszonym śmiechem.

— Wy, kobiety, jesteście aniołami — rzekł — ale czasem zanadto głęboko sięgacie wzrokiem na dno duszy tych, którzy was kochają.

— Więc przeczucie mnie nie zawiodło — pomyślała Gracya. — Była jakaś tajemnica pomiędzy nami. Ale jaka?...

Część trzecia.

ROZDZIAŁ I.

Zawitał sierpień, siejąc złotem dokoła, po łanach kołyszących się dojrzałym kłosem pszenicznym, po obłokach zabarwionych purpurowym zachodem słońca, po krzewach winnych żółcących się owocowemi gronami, po falach morskich mieniących się blaskiem promiennych zórz poranku.

Nad uciszonem morzem wypłynął na błękity duży księżyc, srebrnym szlakiem jasności podobnym do korowodu duchów, powlekając zdradne odmęty topieli. Pod dużym ogrodowym cedrem, naprzeciw otwartych okien jadalnej sali, pan Forde Cusacke zasiadł po raz ostatni jako władca Swanbourne.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Odpowiedzialny redaktor: Ludwik Masłowski. Papier z fabryki Braci Fijałkowskich w Białej. Z drukarni nar. W. Manieckiego. Zarządca W. Hodak.